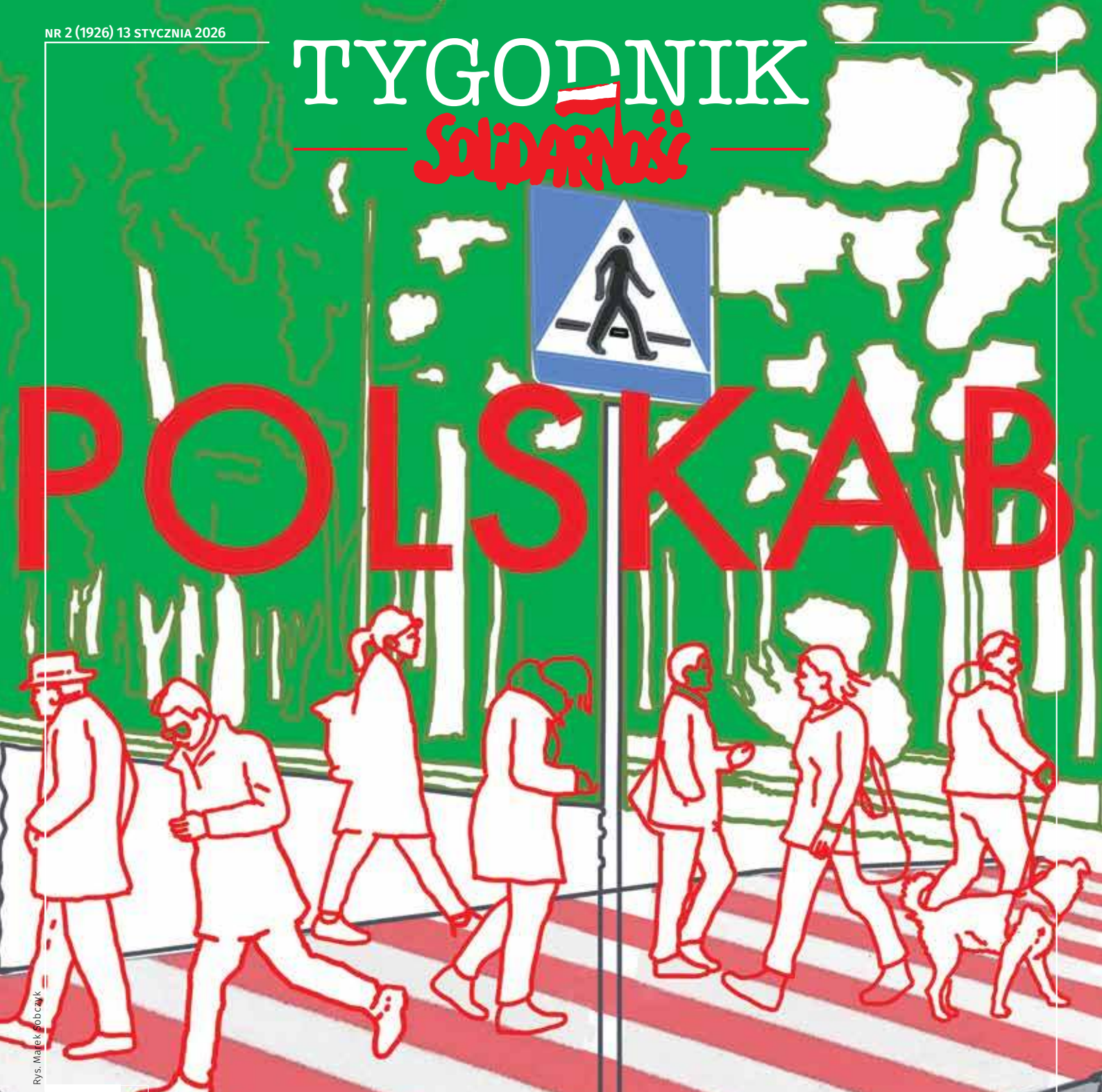
NR 2 (1926) 13 STYCZNIA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

POLSKA B



Rys. Marek Sobczyk

Mniejsze
NIE ZNACZY GORSZE

ISSN 0208-8045
02 INDEKS 379433
9 770208 040450
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

- I TUSK NIE CHCE, I TUSKA NIE CHCĄ
- CO MOŻE DAĆ MI SOLIDARNOŚĆ?

eprasa.pl ffd7aceac8

REPUBLIKA

Tomasz Sakiewicz wspólnie z zaproszonymi do studia ekspertami, dziennikarzami i politykami podsumowuje najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia. Zobaczymy także, jakie tematy zdominowały polskie media społecznościowe.



www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl fid7aceac8



Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

Liberalne rządy, wyniesione do władzy głosami mieszkańców dużych miast, albo w ogóle nie dostrzegają prowincji, albo jest ona dla nich jedynie abstraktem: statystyką, problemem „do rozwiązania” lub siedliskiem zacofanych przekonań. I właśnie dlatego politycy tacy jak Donald Tusk nigdy jej nie zrozumieją. Do tego premier zupełnie nie uczy się na własnych błędach.

Podczas poprzednich rządów Platforma Obywatelska realizowała brutalną politykę antypracowniczą, która w praktyce oznaczała często likwidację zakładów pracy w małych miastach. Fabryki, które często były jedynym źródłem utrzymania całych okolic, znikały. Młodzi mieli „być mobilni”, czyli wyjechać. Starsi – radzić sobie sami.

Do tego doszła dewastacja komunikacyjna. Zamykano linie kolejowe, likwidowano PKS-y, odcinano mniejsze miejscowości od większych rynków pracy. Ci sami politycy, którzy dziś ubolewają nad „wykluczeniem komunikacyjnym”, byli jego architektami. Gdy prowincja traciła połączenia, szkoły, posterunki policji, poczty i oddziały szpitalne, w wielkich miastach trwała euforia „doganiania Zachodu” i rosło poczucie moralnej wyższości nad zaściankiem.

Po latach zaniedbań w ciągu ostatniej dekady wydawało się, że mieszkańcy mniejszych miast wreszcie zostali zauważeni. Transfery społeczne, wzrost płacy minimalnej, inwestycje w lokalną infrastrukturę – to wszystko realnie odczuli ludzie w mniejszych ośrodkach. Nie rozwiązało to wszystkich problemów, ale przynajmniej zatrzymało równię pochyłą.

Dziś, po powrocie Donalda Tuska do władzy, historia zatacza koło. Znów tnie się ambitne projekty komunikacyjne, brakuje polityki przemysłowej, zamykane są zakłady pracy – głównie poza metropoliami. Znów słyszymy, że „się nie opłaca” i że „rynek zweryfikuje”. A rynek weryfikuje zawsze tak samo: uderzając najmocniej w tych, którzy i tak mają najmniej. To dlatego tak wielu Polaków, szczególnie w mniejszych miejscowościach, w których już widać skutki polityki Donalda Tuska, czuje się oszukanymi przez ten rząd.

Rząd może dalej nie zauważać „Polski B”, ale prawda jest taka, że to on jest oderwany od rzeczywistości i krótkowzroczny.

Rząd może dalej nie zauważać „Polski B”, ale prawda jest taka, że to on jest oderwany od rzeczywistości i krótkowzroczny. Donald Tusk, zamiast wyciągnąć wnioski z przeszłości, po raz kolejny pokazuje, że dla niego Polska kończy się tam, gdzie sięga wzrokiem, wyglądając z okna własnego gabinetu. I to może być jego największy błąd w świetle najbliższych wyborów. S

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**



eprasa.pl ffd7aceac8

13.01.2026
WYDANIE Nr
2

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Co dziś znaczy Polska B?



6 **Polska B na równi pochyłej**

10 **Bezrobocie. Jeszcze go nie widać, a już jest**

14 **Liberałów wojna z prowincją**

18 **Daleko od szosy z laptopem pod pachą**

22 **Seks w małym mieście**

KRAJ

I Tusk nie chce, i Tuska nie chcą 26

Eugenika po polsku, czyli uśmiechnięta medycyna 30

Maduro, czyli polityka naprawdę realna 34

Rosjanie zaczną od działań psychologicznych. Rozmowa z M. Kisilowskim 38

ZAGRANICA

America Fest, czyli danse macabre 48

KULTURA

Jestem pozytywnym człowiekiem, dlatego tworzę melodie na pozytywce. Rozmowa z P. Paduszyńskim 52

Brigitte Bardot – konserwatywna buntowniczka 56

„Niedziele" pełne cudów 60

ZWIĄZEK

Co w związku 64

Ryszard Majdzik: „Bądźmy solidarni" 66

Co może dać mi Solidarność? Rozmowa z I. Pszczołą 68

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność"

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS" na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Wojciech Kwidziński

Członek Zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Andrzej Berezowski, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Jakub Szmit, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki, e-mail:
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. ks. Jerzego Popiełuszki 6, 80-864 Gdańsk
nr konta: SKOK im. Franciszka Stefczyka
52 7065 0002 0651 8267 6304 0001

Telefon: 58 337 60 44

FELIETONY:

WOŚ 5
OKRASKA 13
GAC 29
MAŁKOWSKA 33
PŁUŻAŃSKI 37
KRYSZTOPA 51

POLECAMY:

KARUZELA Z BLOGERAMI 21
ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO 44
ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 47
PRAWO 72
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 73

eprasa.pl ffd7aceac8

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Rafał Woś

Niewidzialna linia sporu o Polskę

70 procent Polaków mieszka w miejscowościach mniejszych niż 100 tysięcy mieszkańców. Miasta, miasteczka, wsie. OK, trzeba do tego dodać pokaźną grupę takich, którzy poza wielkim miastem tylko nocują a ich życie zawodowe czy ekonomiczne orbituje jednak wokół dużych metropolii. Ale nawet wówczas wychodzi na to, że mniej więcej dla połowy mieszkańców naszego kraju domem jest Polska powiatowa oraz gminna. To bardzo dużo.

Życie z dala od zgiełku wielkiego miasta bywa wielkim marzeniem niejednego mieszczucha. Fantazjują o niższych kosztach życia, tańszych nieruchomościach, braku korków albo bliskości natury. Zazwyczaj nie biorą pod uwagę wielu problemów: będącego spadkiem po cięciach transformacji wykluczenia transportowego, niskiej przejrzystości polityki lokalnej czy ograniczeń ekonomicznych – na przykład tego, że jak na prowincji zwolnienia grupowe ogłasza większy zakład pracy, to trudno jest z dnia na dzień znaleźć inną robotę. Efektem tego ostatniego problemu jest bezrobocie strukturalne, czyli kategoria, która ładną dekadę temu zniknęła z radaru dużej ogólnopolskiej opinii publicznej. Ale w wielu miejscach w Polsce, takich jak Szydłowiec na południowym Mazowszu czy powiat leski na Podkarpaciu, nigdy nie przestało być problemem.

Dobre jest to, że od mniej więcej dekady bolączki tzw. Polski powiatowej są faktycznym tematem polskiej debaty politycznej. Wielka w tym zasługa polskiej prawicy, która wyspecjalizowała się w byciu głosem mniejszych miejscowości na dużej scenie. Nie zawsze robi to skutecznie, ale – jak dotąd – od tej roli bynajmniej się nie odżegnuje. Bez tego bolączki prowincji byłyby traktowane jako „szum tła", do którego trzeba się po prostu przyzwyczaić. Tak jak to było w latach 90. XX wieku.

Przed Polską regionalną wiele trudnych problemów. Ot, choćby dopinana właśnie przez Unię Europejską umowa o wolnym handlu z krajami Mercosuru do której zablokowania nie bardzo garnie się obecny polski rząd. Gdy wejdzie w życie, uderzy bardzo mocno w polski sektor produkcji rolnej, który był w ostatnich latach coraz bardziej nowoczesnym kołem zamachowym lokalnych gospodarek. Nie można też wykluczyć, że prowincja będzie miejscem, w które większe miasta będą się starały przepchnąć nadmiar migrantów, gdy przekroczona zostanie u nich granica wyporności oraz społecznego niezadowolenia. Do tego dochodzi też dostrzegalna od dwóch lat tendencja, żeby było tak, jak było – a konkretnie, by interes Polski B ustępował przed prymatem potrzeb metropolii. Jak w przypadku linii kolejowej, która w celu przewiezienia pasażerów z Warszawy do Poznania o 7 minut szybciej zrezygnuje z przystanku w mniejszym miasteczku na takiej trasie. Albo przy rychłej próbie obalenia uchwalonej za czasów PiS dwukadencyjności w samorządzie, a więc rozwiązania, które miało – choć odrobinę – rozszczelnić lokalne układy, „na które nie ma rady".

To wszystko także jest ważnym wymiarem sporu o przyszłość Polski. Nawet jeśli dostrzegamy go zdecydowanie zbyt rzadko.

eprasa.pl ffd7aceac8

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia



Polska B na RÓWNI POCHYŁEJ

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl/id7aceacd

Prowincja to **ofiara liberalizmu** dominującego w III RP oraz systemowego lekceważenia słabszych. A najgorsze prawdopodobnie przed nią.

Remigiusz Okraska

O ile balcerowiczowska „transformacja" uderzyła w cały przemysł, o tyle największymi przegranymi tego procesu były społeczności prowincjonalne. Po pierwsze, likwidowane zakłady często stanowiły jedyne lub główne miejsca pracy w okolicy. Po drugie, rzadko coś powstawało w zamian.

Akcja dewastacja

W moim rodzinnym Zawierciu zlikwidowano dwa wielkie zakłady włókiennicze, hutę szkła, fabrykę opakowań blaszanych, duży zakład serwisujący ciężarówki, przedsiębiorstwo z branży metalowej, zakład destylacji drewna, zakłady mięsne. W sąsiednich małych miejscowościach upadły dwie duże cementownie, zakład pokryć dachowych, zakłady włókiennicze, odlewnia, fabryka AGD, fabryka obrabiarek. W kilku podmiotach, które przetrwały, zatrudnienie zredukowano o 60–80%. Ubyło tysięcy miejsc pracy.

W zamian powstało niewiele. Na część nowych firm trzeba było czekać z dwie dekady od „transformacji". Taki scenariusz był typowy dla setek miejscowości polskiej prowincji. Moje rodzinne miasto trochę ratowało położenie – w pobliżu wielkiej aglomeracji i zagłębia przemysłowego, przy dużej linii kolejowej. Inni nie mieli tyle szczęścia.

Bez dojazdu

Rząd Jerzego Buzka w tylko jeden dzień – 3 kwietnia 2000 roku – zawiesił kursowanie pociągów na 1028 kilometrach. Towarzyszyło temu likwidowanie całych linii kolejowych. Drugi rząd Leszka Millera wyłączył z ruchu 1582 kilometrów linii kolejowych. Gdy po nim nastał rząd Marka Belki, dołożył kolejne 818 kilometrów likwidacji. Głównie na prowincji. Często były to trasy łączące z miastami, w których było lepiej z pracą i dochodami.

Tę politykę kontynuowano za pierwszych rządów Donalda Tuska. Dziś politycy PO chwalą się sporadycznym przywracaniem ruchu na trasach, które ta sama partia zamknęła kilkanaście lat temu. Dokonała wtedy także masowego niszczenia PKS-ów. Ocalałe z nich postanowiono sprywatyzować, a gdy nie było chętnych – zlikwidować. Było tak na przykład w Zawierciu, gdzie mieszkałem, oraz w Cieszynie, gdzie mieszkam. PKS-y obsługiwały całe powiaty. Zakończyły żywot za „pierwszego Tuska". Politycy PO kilka lat później rozpaczali nad „wykluczeniem komunikacyjnym". Oni wykluczyli ludzi ze wszystkiego.

Hurtowe likwidowanie

Tylko w ciągu pierwszych pięciu lat rządów PO zamknięto 954 szkoły podstawowe i 170 gimnazjów. 86% podstawówek zlikwidowanych w latach 2007–2012 to placówki z gmin wiejskich oraz miejsko-wiejskich.

W latach 2007–2014 zlikwidowano prawie połowę – ponad 370 – posterunków policji, głównie we wsiach i w małych miasteczkach.

W podobnym okresie o ponad 40% zmalała liczba placówek pocztowych, w tym niemal 500 ubyło na wsi. Podobnie z placówkami kulturalnymi, integracyjnymi, leczniczymi itp.

Ideologia kontra ludzie

Nie był to przypadek. Stała za tym ideologia.

Gdy za sprawą wysiłków Przemysława Gosiewskiego pociągi pasażerskie zaczęły obsługiwać stację Włoszczowa Północ na Centralnej Magistrali Kolejowej, drwinom nie było końca. Kto to widział, żeby jacyś „wieśniacy" mogli wsiąść do pociągów łączących stolicę z „interiorem". „Po co?", „Ile to kosztuje?", „Kto tam będzie wsiadał?" – komentowała liberalna elita.

Dziś ze stacji na styku województw śląskiego, świętokrzyskiego i łódzkiego korzystają codziennie setki osób. Nawet w kategoriach czystej rentowności jest to opłacalne.

PROGNOZY MÓWIĄ, ŻE JESZCZE ZA ŻYCIA DZISIEJSZYCH 35-LATKÓW O 30–50% SKURCZY SIĘ POPULACJA NIE TYLKO OŚRODKÓW NAPRAWDĘ MAŁYCH, ALE TAKŻE TAKICH JAK TARNÓW CZY OSTROŁĘKA.

eprasa.pl ffd7aceac8

Gdy wspomniany Gosiewski był zajadle krytykowany za wsparcie komunikacyjne mieszkańców prowincji, celnie zauważył: „To są ugrupowania, według których mają się rozwijać tylko duże miasta". Wizję tę zwano „rozwojem polaryzacyjno-dyfuzyjnym": trzeba wspierać najprężniejsze ośrodki, a ich rozwój pociągnie w górę całą resztę. Nie ma w tej doktrynie żadnego sensu, ale padła na podatny grunt.

Kowale z luksusowej kuźni

Mieszkańcy wielkich miast chętnie uwierzyli w wizję, wedle której małe miejscowości zamieszkują jacyś gorsi, nieudolni ludzie. Każdy lubi czuć się lepszym i sprawczym.

Łatwo wierzyć w „bycie kowalem własnego losu", gdy zamieszkujemy np. w stolicy. Najwyższe bezrobocie wynosiło w III RP w Warszawie tyle samo lub mniej niż najniższe w wielu miejscach Polski B. Gdy w stolicy budowano kolejną linię metra, na prowincji czekano na kanalizację, gazociąg czy światłowód.

ZA RZĄDÓW PiS W MIESZKAŃCACH POLSKI B DOSTRZEŻONO LUDZI, BLIŹNICH, WSPÓŁOBYWATELI, POLAKÓW.

To nie tylko kwestia Warszawy. Przeciętna pensja w sektorze przedsiębiorstw wynosiła w Krakowie wiosną 2025 roku niemal 13 000 zł brutto. Ten sam wskaźnik dla całego województwa małopolskiego to już tylko niespełna 9000 zł. Zatem na każdego dobrze zarabiającego Krakusa przypada zamieszkujący całkiem niedaleko ktoś z dochodami o połowę niższymi.

Ciekawe, jak „kowale" poradziliby sobie, gdyby zabrać im znakomity lokalny rynek pracy albo wysokie wielkomiejskie pensje, albo duże wpływy do budżetu miasta płacone ze względu na miejsce formalnej rejestracji wielkiego biznesu itp., albo mnóstwo usług publicznych, które na prowincji likwidowano hurtowo. Wygodniej o tym nie myśleć – i żyć w przekonaniu, że Polskę B zamieszkuje nieudaczny „ciemnogród".

Kwadratura koła

Nie ma pracy na miejscu i brak dojazdu tam, gdzie ona jest? Przeprowadzamy się tam, gdzie o nią łatwiej. Brak godnych pensji czy stabilnego zatrudnienia i możliwości rozwoju zawodowego? Taka sama indywidualna strategia przetrwania. Brak rozrywek, możliwości rozwoju, dostępu do kultury czy leczenia? Kto może, ten ucieka. W III RP wyjechały z kraju 2 miliony Polaków. Większość właśnie z prowincji. Jeszcze więcej opuściło ją, aby przenieść się do polskich dużych miast.

Wyjeżdżają ludzie, którzy dopiero w większym mieście zdecydują się na dzieci. Wyjeżdżają młodzi zaraz po szkole średniej – i już nie wracają. Wyjeżdżają ci z pomysłami i aktywni oraz ci bez szans na cokolwiek na miejscu. Gdy do tego dochodzi mizerny przyrost naturalny, prowincja wyludnia się, a średni wiek mieszkańców stale rośnie.

Czyli jeszcze bardziej maleją szanse na jakikolwiek rozwój. Ubywa płatników podatków. Ubywa dzieci w szkołach i przedszkolach. Ubywa aktywnych konsumentów usług publicznych i oferty komercyjnej. Nie opłaca się w takich miejscach inwestować, tworzyć nowych podmiotów, zapewniać transportu itp., więc jeszcze bardziej kurczy się wszelaka oferta, bo nie ma jej dla kogo i za co robić.

Będzie tylko gorzej

Aż ostatni zgaszą światło. To nie jest publicystyczna wizja. To twarde fakty, demografia, matematyka. Prognozy mówią, że jeszcze za życia dzisiejszych 35-latków o 30–50% skurczy się populacja nie tylko ośrodków naprawdę małych, ale także takich jak Tarnów czy Ostrołęka. Oznacza to zapaść wpływów z podatków, niemożność utrzymania infrastruktury, zanik wielu funkcji komunalnych oraz odpływ oferty rynkowej z powodu braku konsumentów, czyli dalsze wyludnianie się, bo kto chce mieszkać tam, gdzie jest coraz mniej wszystkiego?

Przybędzie mieszkańców w „obwarzankach" wielkich miast. Spokojnego życia i niższych kosztów bytowania czy tańszych nieruchomości będzie się szukało w okolicach dobrze skomunikowanych z aglomeracją. Poradzi sobie jedno czy drugie „malownicze" lub atrakcyjne turystycznie miasteczko. Ale będą to wyjątki. Reguła to wyludnianie się i zapaść całych okolic.

Już dzisiaj mamy wyraźny trend depopulacji nie tylko dosłownej prowincji, ale także miast wojewódzkich typu Kielce. Młodzi odpływają głównie do stolicy, Krakowa, Wrocławia, Trójmiasta i Poznania. Pozostałe większe miasta przyciągają młodych, ale zazwyczaj mniej, niż straciły na rzecz „wielkiej piątki". I robią to kosztem mniejszych miast i wsi.

W roku 2010 było 607 gmin z liczbą ludności poniżej 5000 osób oraz 36 gmin poniżej 2500 mieszkańców. W 2024 roku tych pierwszych było już 724, a tych drugich – 79. W ciągu dwóch dekad powiat hrubieszowski stracił 38% populacji, bartoszycki – 37%, krasnostawski – 36%, a kilkanaście innych ponad 20%.

„Atlas małych miast", przygotowany w Polskiej Akademii Nauk, mówi, że w ciągu dwóch dekad znacząco zmalał w nich odsetek dzieci i młodzieży oraz znacząco wzrósł udział seniorów. Tych drugich jest już więcej niż młodych. A to dopiero

eprasa.pl ffd7aceac8

początek. Za kilkanaście lat zaczną odchodzić osoby z końcówki wyżu demograficznego. Nikt ich nie zastąpi.

Dostrzec prowincję

Pierwszą – nie licząc niektórych dotacji unijnych – w III RP próbą przełamania tego mechanizmu były rządy PiS.

Do mieszkańców Polski B trafiły dodatkowe miliardy z transferów takich jak 500+ oraz dodatkowych emerytur, a także z szybkiego wzrostu płac minimalnych oraz ustanowienia stawek minimalnych na umowach śmieciowych. Do wielkich miast też trafiły środki, ale znacznie odczuwalne były one na prowincji.

Kto mieszkał w niewielkim ubogim mieście, ten dosłownie z miesiąca na miesiąc obserwował zjawiska niewidziane od dekad. Konsumpcję, rozwój biznesów, brak oglądania każdej złotówki przed wydaniem, pojawienie się oferty, którą dotychczas znano tylko z wielkich miast.

Uruchomiono też celowe programy wsparcia. Program Kolej+ miał odbudować połączenia do wielu miejscowości. Fundusz Rozwoju Przewozów Autobusowych – przeciwdziałać wykluczeniu komunikacyjnemu właśnie na prowincji. Wyśmiewanie „zakupu garnków dla Kół Gospodyń Wiejskich" czy wspierania Ochotniczych Straży Pożarnych świadczy wyłącznie o pogardzie wobec miejsc i form aktywności ważnych dla setek tysięcy osób znajdujących się w strukturalnie gorszym położeniu.

Można było zrobić więcej. Należy to zrobić. Ale przynajmniej przyhamowano zły trend. W mieszkańcach Polski B dostrzeżono ludzi, bliźnich, współobywateli, Polaków.

Powrót liberałów do władzy to ponowne uderzenie w prowincję.

Nigdzie nie pojedziecie

Najbardziej jaskrawo widać to w zmianie modelu CPK. Pierwotna postać obejmowała także mniejsze ośrodki i skomunikowanie z nimi, ułatwiając i znacznie przyspieszając dojazd do wielkich miast. W Niemczech czy Francji pomogło to przeciwdziałać wyludnianiu się części prowincji.

Podobnie z programem Kolej+. Za rządów PO wycofano się z pomysłu budowy linii kolejowej Turek – Konin. Turek to drugi największy ośrodek województwa wielkopolskiego bez połączeń kolejowych z nieodległym sporym miastem. Mieszkańców mamiono uruchomieniem linii autobusowej, ale okazało się to obietnicą bez pokrycia. Z programu usunięto także odbudowę linii z Jastrzębia-Zdroju do Katowic, czyli połączenie stolicy województwa z największym polskim miastem pozbawionym kolei.

Zlikwidowano postoje pociągów PKP Intercity w Żarach i Żaganiu w województwie lubuskim, Nasielsku w mazowieckim, Suchedniowie w świętokrzyskim, Barczewie w warmińsko-mazurskim i kilku innych w mniejszych miejscowościach. Także Włoszczowa odczuła rządy liberałów – tam przestało zatrzymywać się Pendolino. Podobnie jak w Ciechanowie, Działdowie i Brzegu.

Bez pracy i reszty

Kolejne uderzenie to brak polityki przemysłowej i przeciwdziałania wysokim cenom energii dla produkcji. Efektem jest fala zwolnień grupowych i zamykania zakładów. Głównie poza wielkimi miastami. Tylko ostatni kwartał to likwidacje zakładów FAP Pafal w Świdnicy, browaru w Namysłowie, odlewni żeliwa Teriel w Gostyniu, Spółdzielni Pracy „Tarnowska Odzież". I zwolnienia grupowe w Aptiv w Jeleśni, Ceramice Paradyż w Opocznie, Zakładzie Elektrotechniki Motoryzacyjnej w Ełku, Hymon Fotowoltaice w Tarnowie, u meblowego potentata BRW w zakładach w Zamościu i Biłgoraju, Infoamie z Inowrocławia, Blachotrapezie na Podhalu. Z dala od dużych miast i prężnych rynków pracy.

Przybywa powiatów z bezrobociem ponad 10%. Tymczasem w 2026 roku powiatowe urzędy pracy otrzymają z Funduszu Pracy o 1,5 mld złotych mniej na wsparcie tworzenia miejsc pracy dla bezrobotnych.

KOLEJNE UDERZENIE W PROWINCJĘ TO BRAK POLITYKI PRZEMYSŁOWEJ I PRZECIWDZIAŁANIA WYSOKIM CENOM ENERGII DLA PRODUKCJI. EFEKTEM JEST FALA ZWOLNIEŃ GRUPOWYCH I ZAMYKANIA ZAKŁADÓW. GŁÓWNIE POZA WIELKIMI MIASTAMI.

Niedawno głośno było o likwidacji oddziałów ginekologiczno-położniczych, głównie na prowincji. W szpitalach powiatowych zamykane są też inne oddziały niedofinansowane przez NFZ. Tymczasem dostęp do leczenia na prowincji już wcześniej był gorszy niż w wielkich miastach.

To wszystko – pogorszenie sytuacji bytowej, zarobkowej, dostępu do leczenia, transportu itp. – sprawia, że prowincja jeszcze szybciej będzie się zsuwać po równi pochyłej. Polska liberalna odwraca się plecami do tych, którzy mają najgorzej.

eprasa.pl ffd7aceac8

Bezrobocie. Jeszcze go nie widać, a już jest

Choć oficjalnie bezrobocie wciąż jest niskie, gdy zajrzymy do województw i powiatów oddalonych od największych aglomeracji, okaże się, że tam już sytuacja wygląda **zupełnie inaczej**. Ludzie z dnia na dzień tracą pracę, a szukanie nowej trwa miesiącami. To może być początek kryzysu – mówią eksperci.

Barbara Michałowska

Choć oficjalnie bezrobocie wciąż jest niskie, gdy zajrzymy do województw i powiatów oddalonych od największych aglomeracji, okaże się, że tam już sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Ludzie z dnia na dzień tracą pracę, a szukanie nowej trwa miesiącami. To może być początek kryzysu – mówią eksperci.

Według najnowszych danych Głównego Urzędu Statystycznego stopa bezrobocia rejestrowanego w Polsce w listopadzie 2025 r. wyniosła 5,6 proc. i pozostawała na tym samym poziomie, co w październiku 2025 r. – chociaż resort pracy wcześniej szacował, że może wzrosnąć do 5,7 proc.

Liczba bezrobotnych zarejestrowanych w urzędach pracy na koniec listopada wyniosła około 873,0–873,6 tys. osób.



eprasa.pl ffd7aceac8

„Potrzebujemy inwestorów jak deszczu”

Gdy przyjrzymy się statystykom głębiej, okaże się, że bezrobocie jest już problemem nie tylko w niektórych miejscowościach, ale również powiatach, a nawet województwach.

W takich województwach jak podkarpackie czy warmińsko-mazurskie stopa bezrobocia sięgała nawet ok. 9 proc., a w zachodniopomorskim ok. 7,5 proc.

W takich zaś powiatach jak szydłowiecki w woj. mazowieckim czy brzozowski w woj. podkarpackim bezrobocie oscyluje wciąż wokół 20 proc.

– Trudno jednoznacznie powiedzieć, dlaczego mamy tak wysoki procent. Na pewno to m.in. zmiany ustrojowe z lat 90., gdy w okolicy funkcjonowały ogromne zakłady, a potem upadły. Choćby szydłowiecki Profel, wierzbicka cementownia czy skarżyskie Mesko. Tam pracowała większość naszych mieszkańców. Potem musieli sobie radzić – tłumaczył w rozmowie z o2.pl Jarosław Basiak, dyrektor Powiatowego Urzędu Pracy.

Inaczej sprawy mają się z powiatem brzozowskim, gdzie bezrobocie wystrzeliło w ostatnich latach. – Miejsca pracy u nas ciężko utrzymać. Potrzebujemy inwestorów jak deszczu – mówił dla portalu o2.pl Józef Kołodziej, dyrektor Powiatowego Urzędu Pracy w Brzozowie, przekonując, że PUP chętnie wesprze działania nowych pracodawców w powiecie.

Niepokojące sygnały

Nie tylko lokalne dane alarmują. Niepokoją także głosy ekspertów i analityków rynku pracy, którzy dostrzegają strukturalne problemy, które nie są od razu widoczne w ogólnym wskaźniku bezrobocia.

– Najbardziej alarmujące jest to, że zwalniają firmy z bardzo różnych sektorów, zlokalizowane w całej Polsce – od IT po produkcję, od dużych korporacji po firmy rodzinne – powiedziała niedawno Natalia Myskova, prezes Smart Solutions HR, w rozmowie z portalem Bankier.pl, podkreślając, że fala zwolnień grupowych nie dotyczy tylko jednej branży, ale wielu obszarów gospodarki.

Z kolei Piotr Soroczyński, główny ekonomista Krajowej Izby Gospodarczej, w rozmowie z portalem Bankier.pl już w październiku zwrócił uwagę, że problem nie polega jedynie na faktycznym wzroście bezrobocia, ale przede wszystkim na drastycznym spadku nowych ofert pracy:

– Na rynku pracy najbardziej niepokoi nie sam wzrost stopy bezrobocia, ale brak nowych ofert pracy. [...] To bardzo niepokojący sygnał – przekonywał.

Weźmy województwo warmińsko-mazurskie. Jak podawało w październiku RMF, wskaźniki dotyczące dostępności ofert pracy w regionie są alarmujące. „We wrześniu 2025 roku do urzędów pracy w regionie zgłoszono zaledwie 1,8 tysiąca wolnych miejsc. Oznacza to, że na jedną ofertę przypadało aż 22 bezrobotnych. Szanse na znalezienie pracy są więc niewielkie, a konkurencja – ogromna” – czytamy.

Prognozy na 2026 rok nie są optymistyczne. Zwiastują to m.in. wysokie bezrobocie wśród młodych, ale również kolejne planowane zwolnienia grupowe. Producent mebli Black Red White już w ubiegłym roku zwolnił ponad 400 osób. W tym ma dobić do 800 zwolnionych. W Fujitsu Tchnology Solutions zwolnienia mają objąć łącznie ponad 830 osób. Zwalniać ma również m.in. Heineken Polska (nawet 700 osób), Ceramika Paradyż czy Zakład Elektroniki Motoryzacyjnej w Ełku. A to tylko



Fot. Adobe Stock

W TAKICH WOJEWÓDZTWACH JAK PODKARPACKIE CZY WARMIŃSKO-MAZURSKIE STOPA BEZROBOCIA SIĘGAŁA NAWET OK. 9 PROC., A W ZACHODNIOPOMORSKIM OK. 7,5 PROC.

eprasa.pl ffd7aceac8

kilka przykładów i nawet nie połowa pierwszego miesiąca tego roku.

„Z dnia na dzień tracimy miejsca pracy”

Cofnijmy się jednak jeszcze do ubiegłego roku. Już rok 2025 upłynął bowiem pod znakiem narastającej liczby zwolnień grupowych oraz decyzji o likwidacji całych zakładów pracy, zwłaszcza w mniejszych miastach i regionach o słabszej kondycji gospodarczej. Dane zbierane przez urzędy pracy pokazują, że problem miał charakter systemowy, a nie incydentalny. Zwalniane były nie tylko pojedyncze zespoły, ale całe załogi, często w miejscach, gdzie dany zakład był jednym z największych pracodawców w okolicy.

„Z dnia na dzień tracimy miejsca pracy. Kolejne zwolnienia grupowe, upadłości firm i dramatyczne pogarszanie warunków pracy nie są przypadkiem. To skutek lekceważenia prawdziwego głosu ludzi pracy, który od miesięcy przedstawia NSZZ «Solidarność». Rząd odwrócił się plecami do pracowników. Ignorował sygnały z zakładów, nie reagował na dramaty całych załóg, a zamiast dialogu wybrał milczenie i działania pogłębiające chaos w gospodarce” – pisali w grudniu przedstawiciele zielonogórskiej Solidarności.

Solidarność zwracała uwagę, że szczególnie dotknięte były branże energochłonne, przemysł drzewny, meblarski oraz część przetwórstwa spożywczego, ale problemy są wszędzie, a małe miasta odczuwają je ze zdwojoną siłą. Rosnące koszty energii, presja płacowa oraz niepewność regulacyjna sprawiały, że część firm decydowała się na zamknięcie działalności zamiast na dalsze inwestowanie w Polsce.

Statystyki maskują prawdziwy obraz

Zamykane zakłady to zwykle dramat dla lokalnej społeczności. To dlatego kolejarze z PKP Cargo tak ostro protestowali przeciwko zamykaniu zakładów w kilku miejscach w Polsce, a niedawno o zamykanych przedsiębiorstwach alarmowali pracownicy m.in. z Myszkowa czy Namysłowa.

Życie mniejszych miejscowości często toczy się wokół jednego lub kilku zakładów pracy, gdy one znikną, na miejscu nie ma dla zwolnionych innej pracy. Trzeba jechać do większych miast, a to często jest trudne, bo lokalna komunikacja kuleje, albo kosztowne. Młodzi najczęściej przeprowadzają się do większych miast. W ten sposób miejscowości wyludniają się i ubożeją jeszcze bardziej. Upadają.

– Jako NSZZ „Solidarność” podkreślamy to nieustannie – statystyki ogólnopolskie często maskują dramatyczną sytuację w mniejszych miejscowościach i na wsiach. Choć w dużych miastach, takich jak Warszawa, Kraków czy Poznań, problem bezrobocia wydaje się marginalny, to w mniejszych ośrodkach sytuacja jest alarmująca. Średnia krajowa w tym przypadku nie oddaje prawdziwego obrazu – dla setek tysięcy Polaków życie codzienne to walka o utrzymanie pracy i godziwych warunków – mówił niedawno Bartłomiej Mickiewicz, zastępca przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, w rozmowie z „Naszym Dziennikiem”.

Związkowcy wskazywali również, że wiele procesów zwolnień grupowych było rozciągniętych w czasie i nie zawsze od razu widocznych w oficjalnych danych. Część firm najpierw nie przedłużała umów czasowych, potem redukowała etaty, a dopiero na końcu ogłaszała formalne zwolnienia grupowe.

Brak skutecznych programów osłonowych oraz realnej polityki reindustrializacji sprawił, że wiele regionów weszło w 2026 rok w znacznie gorszej kondycji niż rok wcześniej. A to oznacza, że nawet przy pozornie stabilnej stopie bezrobocia sytuacja na rynku pracy poza największymi aglomeracjami pozostaje krucha.

FALA ZWOLNIEŃ GRUPOWYCH NIE DOTYCZY TYLKO JEDNEJ BRANŻY, ALE WIELU OBSZARÓW GOSPODARKI.

PROGNOZY NA 2026 ROK NIE SĄ OPTYMISTYCZNE. ZWIASTUJĄ TO M.IN. WYSOKIE BEZROBOCIE WŚRÓD MŁODYCH, ALE RÓWNIEŻ KOLEJNE PLANOWANE ZWOLNIENIA GRUPOWE.

eprasa.pl ffd7aceac8



Magdalena Okraska

O (nie)wyjeżdżaniu

Z małymi miejscowościami jest tak, że się z nich wyjeżdża. Na studia, za pracą, za rozrywką, za pieniędzmi. Utytułowani humanistycy robią na ten temat badania i piszą wielostronicowe raporty tylko po to, by dotrzeć do tych kilku podstawowych powodów opuszczania rodzinnej miejscowości. Sami są zresztą trochę hipokrytami, bo i oni przecież wyjechali. Swoje naukowe hipotezy formułują z uczelni w kilku największych miastach.

Mamy w Polsce setki miejscowości do trzydziestu tysięcy mieszkańców. Są wśród nich „lepsze" i „gorsze", mniej lub bardziej wdzięcznie położone, z dobrym dojazdem do pracy w dużym mieście i absolutnie bez takiego dojazdu. Zalety niektórych z nich nie odwrócą jednak trendu – polska prowincja się wyludnia. Wyjeżdżają z niej młodzi, a starzy tutaj umierają.

Ci, którzy zostali lub (czasami, nieczęsto) wrócili, skazani są na niewysokiej klasy opiekę zdrowotną, wąski i płytki rynek pracy, ograniczoną i powtarzalną paletę rozrywek. Dla wielu z nich to wystarczający powód, by wyjechać i nie wracać. Mała miejscowość kojarzy się im z dusznym klimatem prowincjonalnej niedzieli, czasami liceum, gdy wszyscy znali naszych rodziców i mogli im zaraz donieść o naszym prowadzeniu się. Gloryfikują anonimowość dużej aglomeracji, pęd, rozrywki, z których często w wirze zarobkowania nie mają czasu skorzystać, albo wyszukane punkty gastronomiczne, na które ich nie stać. Jeśli stać, tym bardziej nigdy tu nie wrócą. Wpadną na dwa dni świąt, na weekend już rzadko, bo znają ciekawsze kierunki. Zdradzi ich elegancki, nowoczesny ubiór, nieznane miejscowym nawyki i idealna polszczyzna pozbawiona cech gwary.

Są i ci, którzy mieszkają tutaj jedną nogą. Codziennie dojeżdżają do pracy 30, 50 czy nawet 80 km, w miejscowości pochodzenia niemal jedynie śpią. Nie ma ich w domu po dziesięć, dwanaście godzin, zarobione pieniądze wydają na jedzenie czy rozrywkę w tym większym mieście. To najgorszy rodzaj rozkroku, bo mówi się, że tylko na chwilę, a z przymusu – czasem też przyzwyczajenia – wchodzi w nawyk, w układ tygodnia. Od czasu masowej likwidacji przemysłu w latach 90. niewielkie miasta (a i te całkiem spore, np. byłe miasta wojewódzkie) nie oferują już prawie w ogóle możliwości zatrudnienia w dużym zakładzie produkcyjnym, hucie, mleczarni czy spółdzielni. Niemal znikło szkolnictwo zawodowe i zakłady pracy chronionej.

Razem z nimi zwinięto instytucje kultury (przede wszystkim małe kina i domy kultury), kluby przyzakładowe i przede wszystkim lokalny transport na taką skalę, do jakiej jeszcze moje pokolenie było przyzwyczajone. Budują nam za to obwodnice, specjalne strefy ekonomiczne (często z firmami opartymi na kapitale zagranicznym), Biedronkę oraz Dino. 20-tysięczne polskie miasto to obecnie kilka przetasowanych generycznych kadrów, na których bez problemu można dostrzec te same, powtarzalne punkty. Na pewno nie zabraknie wśród nich Rossmanna.

Ci, którzy zostali, mieli pecha – albo szczęście. Czasami zostali, bo „mogli", bo nie musieli szukać szczęścia za miedzą. Czasami – bo nie mieli innego wyjścia, są związani z małą miejscowością za pomocą więzów rodzinnych czy odwiecznie wykonywanej pracy. Czasami – ze strachu. Żadna z tych motywacji nie jest gorsza niż te, które stymulują do wyjazdu. Dla słowa „wyjazd" często zresztą synonimem staje się wyraz „ucieczka": „Udało mu się uciec z miasteczka X". Tak, jakby ci, którzy zostali, przegrali na loterii.

Jak zatrzymać młodych w małych miastach? Przede wszystkim pracą, na drugim miejscu usługami. Prowincja nie może stać się miastami zombie, pełnymi starszych ludzi i pustostanów po niegdyś ludnych osiedlach. Powinniśmy także przestać suflować młodym pokoleniom znaną i lubianą retorykę sukcesu i porażki, w myśl której „ucieczka" z małego miasta jest sukcesem, natomiast pozostanie w nim oznacza życiową porażkę.

eprasa.pl ffd7aceac8

Liberałów wojna z prowincją

„Polska A Polsce B każe się całować w d...” – głosił jeden z setek wulgarnych komentarzy na wieść o wygranej Platformy Obywatelskiej w wyborach 2007 roku. Praktyka kolejnych lat rządów każe się zastanawiać, czy była to wypowiedź sfrustrowanego rządami „pierwszego PiS-u” internauty, czy stratega, który na lata sformułował **rządowy pomysł** na funkcjonowanie naszego kraju. Polska prowincjonalna pod rządami liberałów traktowana była i jest po macoszemu.

Krzysztof Karnkowski

Podział na Polskę A i Polskę B swoje korzenie ma w II RP. Państwo po rozbiorach musiało zrosnąć się na nowo, a w jego skład weszły tereny o różnym stopniu uprzemysłowienia, infrastruktury drogowej, alfabetyzacji i wielu innych składników wpływających na poziom cywilizacyjny. Ten zupełnie inny był w Polsce Zachodniej i Centralnej, inny na południe i wschód od Warszawy.

Historyczny podział

Największą próbą zmiany tego stanu rzeczy była budowa Centralnego Okręgu Przemysłowego. PRL oficjalnie nie uznawała istnienia takiego podziału, choć pojęcie „Polski B” istniało śladowo w publicystyce. Gdy granice kraju przesunęły się na zachód, nazwa ta zaczęła być używana w stosunku do wschodniego pasa przygranicznego. Równocześnie istniała jeszcze na ogół biedniejsza, traktowana po macoszemu Polska powiatowa, obu tym obszarom w pewnym stopniu pomagała jednak komunistyczna, centralnie sterowana gospodarka, stawiająca na rozwój przemysłu, zwłaszcza ciężkiego, rozrzuconego po kraju, również w mniejszych ośrodkach. Dużą zmianą była też reforma administracyjna z 1975 roku. Zlikwidowano wówczas powiaty, tworząc w miejsce wcześniejszych 17 aż 49 województw. Dla części miast powiatowych był to regres, równocześnie jednak nowe miasta wojewódzkie zyskały na znaczeniu. Późniejsza propaganda nie bez racji przedstawiała gierkowską reformę jako odgórnie zaplanowane rozdęcie państwowej biurokracji. Jednak odwrotna w swych założeniach reforma podziału administracyjnego z 1999 roku i późniejsza marginalizacja i utrata znaczenia



Fot. Adobe Stock

byłych miast wojewódzkich pokazują, że dla nich wcześniejsza zmiana miała realne znaczenie zarówno kulturowe, jak i cywilizacyjne. Bardzo wiele dawnych stolic województw jest dziś jedynie cieniem samych siebie sprzed kilkunastu lat, tracąc nie tylko znaczenie, ale też miejsca pracy i mieszkańców. Choć depopulacja nastąpiła również w miastach, które nie straciły statusu wojewódzkich, niebędących równocześnie kluczowymi metropoliami, według dostępnych statystyk miejscowości pozbawione tego tytułu wyludniały się szybciej. Utrata funkcji administracyjnej dla większości z 31 ośrodków nie była jedynie neutralną zmianą techniczną, lecz przede wszystkim utratą renty instytucjonalnej, czyli miejsc pracy w administracji, symbolicznego prestiżu i pozycji w sieci decyzyjnej państwa, a często również pierwszeństwa w dystrybucji zasobów. Dodajmy, że dla wielu z tych miast było to dopełnienie losu, który zaczął się wraz z końcem PRL i kryzysem gospodarczym. Pauperyzacja i deindustrializacja zawitały tam wcześniej, likwidacja urzędów i utrata prestiżu nie były pierwszym, a często kolejnym aktem degrengolady.

Metropolie i dziury

W 2009 roku nakładem KPRM ukazał się przygotowany pod kierownictwem Michała Boniego raport „Polska 2030" mający być według pomysłodawców punktem wyjścia do dyskusji na temat przyszłości naszego kraju. Raport proponował oparcie dalszego rozwoju na modelu polaryzacyjno-dyfuzyjnym. Jego głównym założeniem było postawienie na rozwój kilku wybranych aglomeracji, z których następnie korzyści wynikające z ich rozwoju promieniować miałyby na mniejsze ośrodki. Metropolie miały osiągnąć poziom analogicznych skupisk w Europie Zachodniej, stać się częścią tworzonej przez nie sieci, a zarazem – konkurencją dla nich. Mniejsze ośrodki miały stanowić ich zaplecze, bogactwo i postęp skapywałyby tym samym w dół społeczno-geograficznej drabiny. Zamordowany prezydent Gdańska Paweł Adamowicz twierdził, że „Metropolie, podobnie jak parki narodowe, są dobrem wspólnym wszystkich mieszkańców kraju, a nie tylko osób żyjących tam lub w województwie, na terenie którego «przypadkowo» leży dana metropolia czy park narodowy". Adamowicz, reprezentujący Unię Metropolii Polskich, szansę dla Polski widział w zwiększeniu znaczenia i koordynacji działań największych ośrodków, o czym mówił, komentując strategię „Polski 2030": „Ponieważ dotychczasowy zasadniczy podział terytorialny państwa nie zapewnia skutecznego wykonywania zadań publicznych na obszarach metropolitalnych i miejskich, należy go zmodyfikować. Jeżeli ma się udać dyfuzja, to najpierw musimy dokonać fuzji skrajnie dziś rozproszonych zadań metropolii. Kluczem do rozwoju i samych metropolii, i całego kraju jest więc dzisiaj utworzenie silnych podmiotów metropolitalnych".

Gowin jak Żurek

Raport stał się podstawą strategii przyjętej w 2013 roku. W praktyce jednak ograniczono się do pierwszego elementu. Prowincja była wręcz rabunkowo wysysana ze swojego potencjału ludzkiego: młodzi ludzie przestali wracać z miast akademickich, inni wyjeżdżali do pracy, wciąż trwała przecież wielka emigracja po otwarciu się na Polaków unijnego rynku pracy. Miasteczka starzały się i zanikały, a wraz z ludźmi znikało też państwo. Gdy większe miasta opuściły już jednostki



samorządu szczebla wojewódzkiego, pojawiła się co prawda administracja powiatowa, jednak dość szybko zaczęto snuć wizje dalszego exodusu instytucji. I tak na mocy podpisanego przez ówczesnego ministra sprawiedliwości Jarosława Gowina rozporządzenia od 1 stycznia 2013 roku 79 sądów rejonowych o limicie etatów do dziewięciu sędziów włącznie zostało przekształconych w wydziały zamiejscowe sądów z najbliższych większych ośrodków. Spowodowało to liczne protesty, również dziś tak ściśle współpracujących z PO organizacji sędziowskich, stało się też przyczyną tarć w koalicji. Chcące uchodzić za reprezentanta Polski lokalnej PSL protestowało przeciwko planom Gowina. Co ciekawe, a dziś zupełnie zapomniane, tamta reforma prowadziła do bardzo podobnych konsekwencji, jakie ma dzisiejsza nagonka na sędziów powołanych przez nieuznawany przez liberałów KRS. „Ostry konflikt między władzą sądowniczą a wykonawczą. Kilkanaście sądów zaprzestało sądzenia. Czy były minister sprawiedliwości Jarosław Gowin popełnił błąd, przez który procesy i wyroki okażą się nieważne?" – alarmowała w „Gazecie Wyborczej" Ewa Siedlecka. „Pracę zawiesiło pięć wydziałów zamiejscowych sądów rejonowych w okręgu olsztyńskim, w okręgu lubelskim – cztery. Ministerstwo Sprawiedliwości informuje, że nie pracuje 50 sędziów z 22 wydziałów zamiejscowych sądów. Wciąż dochodzą nowe. Sędziowie deklarują, że w ten sposób chcą uchronić klientów przed unieważnianiem wyroków i powtarzaniem procesów.

WIELE DAWNYCH STOLIC WOJEWÓDZTW JEST DZIŚ JEDYNIE CIENIEM SAMYCH SIEBIE SPRZED KILKUNASTU LAT.

To pokłosie reformy Gowina, czyli przekształcenia jednej czwartej, tj. 79 sądów rejonowych w Polsce w oddziały zamiejscowe innych sądów. Sąd Najwyższy [...] ogłosił właśnie uzasadnienie uchwały dającej podstawę do unieważnienia procesów, w których uczestniczył któryś z 500 sędziów przeniesionych w ramach reformy Gowina. Sąd Najwyższy stwierdza, że te decyzje są nieważne. To znaczy, że każdy, kto ma proces albo wyrok wydany z udziałem tak przeniesionego sędziego, może domagać się unieważnienia procesu lub uchylenia wyroku. To automat, jeśli sąd był «nienależycie obsadzony»".

MIASTECZKA STARZAŁY SIĘ I ZANIKAŁY, A WRAZ Z LUDŹMI ZNIKAŁO TEŻ PAŃSTWO.

Pełzające wykluczenie

Jeszcze przed utratą władzy przez PO reforma została wycofana, a sądy wróciły do kilkudziesięciu miejscowości. Równocześnie jednak znikały też inne instytucje. Gdy przed wyborami w 2023 roku trwała dyskusja o bezpieczeństwie państwa, politycy PiS przypomnieli, że w latach 2007–2015 zlikwidowano nie tylko kilkaset jednostek wojskowych, ale też ponad 400 posterunków policji. W 2013 roku minister Michał Boni zapowiadał likwidację półtora tysiąca urzędów pocztowych, a opublikowany w 2016 roku raport NIK stwierdził, że za rządów PO liczba placówek Poczty Polskiej zmniejszyła się o 11%. Według raportu „Poczta zamykała nierentowne placówki na wsiach i w małych miastach, ale równocześnie nie otwierała wystarczającej liczby nowych w miastach, do których napływa coraz więcej ludności". Oddzielną kwestią jest bardzo często obecny w mediach temat wykluczenia transportowego. Wciąż robią wielkie wrażenie porównawcze mapy sieci połączeń kolejowych sprzed roku 1989 i te bardziej współczesne. Zniknęły na nich wreszcie, po niemal stu latach, różnice między dużo bardziej „ukrwionym" zachodem a wschodem, tyle że nie poprzez awans tego drugiego, a zubożenie pierwszego. Od lat porusza się też kwestię wykluczenia z komunikacji autobusowej. Według danych UNICEF wykluczenie komunikacyjne dotyczy 40% Polaków, a do 20% miejscowości w Polsce nie dojeżdża żaden transport publiczny, a kolejne tyle ma jedynie minimalne połączenia (np. kilka kursów dziennie w dni nauki szkolnej). Wg innych danych prawie 26% sołectw (ok. 11 tys. jednostek) nie jest skomunikowanych transportem publicznym ani kolejowym, ani autobusowym bez przesiadek z siedzibą gminy. Za rządów PiS

eprasa.pl ffd7aceac8

próbowano odbudowywać transport lokalny, remontowano dworce kolejowe, jednak liczba połączeń wciąż spadała, na co wpływ miała również pandemia. Rewolucją miała być sieć kolejowa zaprojektowana wokół centralnego Portu Komunikacyjnego, która miała objąć wiele miejscowości średniej wielkości, pomijanych dotąd na mapie połączeń, nawet w przypadku przechodzenia przez nie większych linii kolejowych. Niestety po objęciu władzy przez rząd PO zrezygnowano z tego komponentu CPK, co zostało już opisane w wielu publikacjach. Plan inkluzyjny zmienił się w ekskluzywny, a drastycznie ograniczona liczba planowanych nowych torów spiąć ma lotnisko jedynie z największymi metropoliami, co znów może pogłębić rozwarstwienie, zamiast je łagodzić.

Mamy wreszcie niekończący się temat kryzysu służby zdrowia, który objawia się zamykaniem kolejnych oddziałów szpitalnych i likwidacją porodówek, co zaczyna być tematem nawet dla liberalnych mediów. „Brak porodówek oznacza dla kobiet ogromny stres. – Będą drżały, czy zdążą dojechać do szpitala. Czy nie urodzą w karetce? Albo będą wynajmować mieszkania w Rzeszowie czy Przemyślu na miesiąc przed porodem, żeby mieć pewność, że zdążą – mówi jedna z położnych” – donosi właśnie rzeszowska mutacja „Gazety Wyborczej”.

Poza nawias

W maju tego roku dziennikarz Radia Wnet Łukasz Jankowski ujawnił przygotowywany przez rząd dokument, który według jego słów miał nie ujrzeć światła dziennego przed wyborami prezydenckimi. „Strategia nowej równowagi” podnosiła bardzo dla władzy Donalda Tuska niekorzystne tematy w rodzaju migracji czy „Zielonego Ładu” w sposób potwierdzający w pełni obawy opozycji, nic więc dziwnego, że to głównie te dwa wątki na chwilę stały się tematem trwającej wówczas kampanii wyborczej. Jednak przygotowywana strategia to również daleko idący powrót do modelu polaryzacyjno-dyfuzyjnego, tym razem nazwanego „policentrycznym rozwojem kraju”. Strategia ta zakłada wsparcie w kluczowych dziedzinach dla metropolii i większych ośrodków, pomijając zarazem całkowicie wiele mniejszych miejscowości, pozwalając, według ujawniających dokument dziennikarzy radia, na ich marginalizację i zapomnienie. „Struktura osadnicza przedstawiona w modelu struktury funkcjonalno-przestrzennej obejmuje 13 istniejących i kształtujących się metropolii, 15 krajowych i regionalnych aglomeracji miejskich oraz 50 ośrodków subregionalnych. […] kluczowe dla zachowania policentrycznego rozwoju kraju ośrodki miejskie zidentyfikowane z poziomu krajowego. Nie wyklucza wsparcia dla mniejszych ośrodków lokalnych i ponadlokalnych, jednak zgodnie z zasadą subsydiarności, powinno ono być kierowane głównie z poziomu regionalnego. Zakres ośrodków miejskich oraz ich obszarów funkcjonalnych będących przedmiotem interwencji przedstawiono na mapie nr X” – czytamy w dokumencie. „Mówiąc krótko, inwestujemy, z grubsza rzecz biorąc, w dawne miasta wojewódzkie i trochę powiatowych. Ale lista ta nie obejmuje nawet 1/4 miast powiatowych. Można to zinterpretować tak, że życie ma być w tych kilkudziesięciu ośrodkach. A w reszcie mają powstać warunki, by ci, którzy tam zostaną, mogli sobie spokojnie żyć i dokonać żywota. Natomiast rozwoju tam nie będzie” – oceniał ujawniony dokument Marek Wróbel z Fundacji Republikańskiej. Znów więc lądujemy w fatalnym kręgu rozwoju ograniczonego tylko do niektórych części kraju, przypadkiem tych, które częściej wybierają partie liberalne. Resztą państwo nie zamierza się interesować, najlepiej też, by i oni nie interesowali się państwem.

W LATACH 2007–2015 ZLIKWIDOWANO PONAD 400 POSTERUNKÓW POLICJI I 11% URZĘDÓW POCZTOWYCH.

ZNÓW LĄDUJEMY W FATALNYM KRĘGU ROZWOJU OGRANICZONEGO TYLKO DO NIEKTÓRYCH CZĘŚCI KRAJU.

eprasa.pl ffd7aceac8

Daleko od szosy z laptopem pod pachą

Tradycyjny podział na prowincję i duże miasto już **nie istnieje**. Rolnicy z małych miejscowości jeżdżą w te same miejsca, co miejska elita. Ludzie z Warszawy tak samo morsują w zimę jak mieszkańcy małych miasteczek i oglądają tego samego Netflixa.

Jakub Pacan



Ej, panie Dyzma, po próżnicy pan tu bruki zbija, mówiłam panu. Na wsi, na prowincji, o chleb łatwiej – usłyszał bohater znanej książki Tadeusza Dołęgi-Mostowicza od gospodyni, od której wynajmował pokoik w Warszawie. To zdanie pokazywało, jak bardzo bohater-prowincjusz był bezradny i nieprzystosowany do życia w wielkim mieście. Z kolei lew dziennikarskich lewicowych salonów Tomasz Lis miał powiedzieć o latach 90.: „Trudniej mi było wyjechać z Zielonej Góry do Warszawy niż potem z Warszawy do Nowego Jorku".



Fot. Adobe Stock

Migracje i kompleksy

Przez lata faktycznie opuszczenie swojej małej ojczyzny i zamieszkanie w wielkim mieście odbierane było jako przekroczenie pewnego rubikonu, ogromny awans społeczny. Człowieka, który powracał potem w odwiedziny w rodzinne strony, otaczał pewien nimb wybrańtwa i przekonanie, że mu się udało. Mentalnie rozdźwięk między prowincją a dużym miastem był ogromny.

Dziwne to tym bardziej, że większość polskiego społeczeństwa pochodzi ze wsi, a miasta tworzą ludzie, których rodzice lub dziadkowie często pochodzili ze wsi. Przed wojną ok. 80% społeczeństwa żyło na wsi. Po wojnie, w czasie industrializacji Polski, nastąpiła masowa migracja zarobkowa do dużych miast. – Tu wszyscy się znają, bo na tym osiedlu są cztery wsie z Mazowsza. Ściągali ich tutaj w latach 70., jak był przemysł i budowali Warszawę – usłyszałem kiedyś od rodowitego Warszawiaka o jednym z osiedli na Mokotowie niedaleko dawnej Galerii Mokotów.

Mimo ogromnego przemieszania mieszkańców wsi, miasteczek i miast trwającego już od zakończenia wojny, co było zresztą zjawiskiem na skalę europejską, słowo „prowincja" wciąż gnieździło się w naszych głowach i stanowiło pewną hermeneutykę tworzącą podział na kogoś lepszego z dużego miasta i gorszego z prowincji.

Ten podział miał się jeszcze dobrze po 2000 roku. Powszechność internetu i nowe technologie zmieniły jednak wszystko, a rewolucja informacyjna dokonała się na polu nie tylko technologicznym, lecz także w zakresie kulturowym. Globalne wpływy zmieniły lokalne realia. Mieszkańcy mniejszych miejscowości, choć mają ograniczenia w dostępie do wysokich czy specjalistycznych dóbr kultury bądź usług edukacyjnych, uczestniczą w tych samych cyfrowych dobrach co mieszkańcy dużych miast i to nie tylko takich jak Kraków czy Warszawa, lecz także w takim samym stopniu jak Nowy Jork czy Madryt. YouTube, TikTok, Instagram, Facebook, aplikacje zakupowe nie tylko dostarczają rozrywki, lecz także są potężnymi narzędziami skracającymi dystans przestrzenny, czasowy, kulturowy i mentalny między ludźmi.

W epoce przedglobalizacyjnej różnice w zasobach kulturowych i możliwościach awansu między mieszkańcem prowincji i metropolii były duże. Wystarczy porównać dwóch młodych ludzi po szkole średniej, którzy wybierali się na studia. Mieszkaniec Warszawy, Krakowa czy Poznania, a więc człowiek z miasta akademickiego, który być może od dziecka co dzień mijał wyższe uczelnie lub może ktoś z jego otoczenia w nich pracował i w różnych formach był z nimi związany, szedł na tę uczelnię niejako w sposób naturalny, „z marszu". Dla takiego człowieka uczelnia była konsekwentnym przedłużeniem edukacji. Owszem, wymagało to nakładu pracy i pilności, lecz nie było czymś niezwykłym. A jeśli jeszcze rodzice byli po studiach, to wybór tej drogi wydawał się jeszcze bardziej naturalny. Dla osoby z prowincji wyjazd do dużego miasta na studia to była wyprawa po złote runo. Taki człowiek wyższą uczelnię widział często pierwszy raz w życiu, kiedy zdawał na nią egzaminy. Już sam wyjazd na egzamin to była zazwyczaj wyprawa z noclegiem.

Mieszkańców miast różniły od mieszkańców prowincji styl życia, sposób spędzania wolnego czasu, percepcja rzeczywistości. Wśród warszawskich cwaniaków krążyły dowcipy, jak oszukali „frajera" z prowincji. Owe problemy

eprasa.pl ffd7aceac8

z przestawianiem się na życie w dużym mieście i trudy przystosowania się do nowych warunków dobrze pokazuje serial „Daleko od szosy" z 1976 roku.

Internet zmienia reguły

To już jednak przeszłość. Internet i masowość informacji powodują, że różne mody i nowe trendy w stylu życia nie przemieszczają się według orientacji wertykalnej – z wielkich metropolii do mniejszych miejscowości – lecz horyzontalnie. Nowe trendy podane są natychmiast wszystkim, wszyscy mają do nich dostęp i wszyscy z nich korzystają, różnicą jest tylko zasobność kieszeni. Pattai w Tajlandii w równym stopniu odwiedza rolnik zajmujący się hodowlą trzody chlewnej, co adiunkt uniwersytecki, a jeśli ktoś ma ochotę na naukę japońskiego czy indonezyjskiego, to w równym stopniu może to robić on-line zarówno z Bieszczadów, jak i Katowic. Socjologowie od dawna udowadniają, że konsumpcja tych samych dóbr stała się sposobem wyrażania tożsamości społecznej, także w małych miejscowościach. Marki, technologie i style życia, które niegdyś wydawały się zarezerwowane dla wielkich miast, dziś są obecne w garderobach, domach i umysłach mieszkańców małych miejscowości.

Media społecznościowe sprawiły też, że model awansu społecznego, czynniki psychograficzne, czyli te dotyczące sposobu spędzania wolnego czasu, hobby, wyrażania siebie, realizowania własnych pasji i ambicji, stały się bardzo podobne, niezależnie od miejsca zamieszkania.

Wrzucamy selfie z tych samych Tatr, chwalimy się udziałem w tych samych maratonach lub w Marszu Niepodległości. Teraz w czasie zimy mieszkańcy żyjący bliżej natury mają nawet lepiej, ponieważ mają dostęp do miejsc, gdzie mogą morsować lub jeździć na nartach biegowych.

Jak bardzo poziom życia w mieście zrównał się z poziomem życia w interiorze, świadczy liczba klubów, klubików, sal sportowych, które w ostatnich latach powstały jak grzyby po deszczu, jak Polska długa i szeroka.

Zmienia się także model rodziny w małych miejscowościach. Dzisiaj w Polsce nie ma już miejsc, w których dominowałyby wspólnoty żyjące według wzorców przedglobalistycznych, opartych na uświęconej tradycji. Od dawna jesteśmy w 100% zeuropeizowani – podobnie jest z naszym katolicyzmem – i czasem wyłaniają się z tego zaskakujące zjawiska. Na pewno problemem nie są już osoby po rozwodach czy żyjący w kolejnych związkach. Pewne formy konserwatywne na prowincji przeważają, lecz są to już raczej świadome wybory. Ludzie chcący żyć według tradycyjnych wartości decydują się na to nie dlatego, że nie załapali się na nowoczesność, ale pomimo niej, a ich wybory w równym stopniu dotyczą mieszkańców miasteczek, jak i miast wojewódzkich.

Postępowa prowincja

Bywa nawet tak, że parafie w małych miejscowościach sekularyzują się szybciej niż te w dużych miastach, ponieważ Kościół w mieście musi ciągle się starać o atrakcyjność i uwagę wiernych i pielęgnuje różne inicjatywy ożywiające parafię, czego nie widać często na prowincji. Ale znowu – katolik mający większe wymagania doskonale zna popularnych kaznodziejów mających status gwiazdy na kanale YouTube.

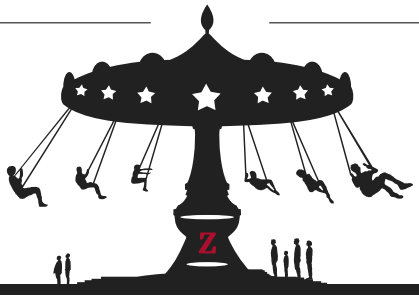
Mimo wszystko mniejsze ośrodki się wyludniają, a młodzi po studiach często już nie wracają. Związane jest to nie tylko z coraz bardziej wyrafinowanymi potrzebami konsumpcyjnymi. Udogodnienia, jakie dzisiaj oferuje prowincja, często są o niebo lepsze od tego, co w ofercie miało pokolenie czy dwa w tył, jednak nie jest to satysfakcjonujące w stosunku do tego, co oferują duże miasta – choćby restauracje z kuchnią z całego świata czy koncerty wielkich gwiazd.

Jest jeszcze coś – dla dużej grupy ludzi po studiach, którzy nie mogą pracować zdalnie, rynek pracy na prowincji jest jednak ograniczony. Niektórzy młodzi znaleźli na to rozwiązanie i mieszkają między rodzinną miejscowością a dużym miastem. Zdarza się też, że mieszkają pomiędzy swoją rodzinną miejscowością a Londynem czy Madrytem. Młode pokolenia nie mają już żadnych kompleksów wobec swoich rówieśników, często też studiowali w ramach wymiany studenckiej za granicą.

NIEZALEŻNIE OD TEGO, GDZIE MIESZKAMY, WRZUCAMY SELFIE Z TYCH SAMYCH TATR, CHWALIMY SIĘ UDZIAŁEM W TYCH SAMYCH MARATONACH LUB W MARSZU NIEPODLEGŁOŚCI.

eprasa.pl ffd7aceac8

KARUZELA BLOGERAMI



GRZEGORZ „GRZECHG” GOŁĘBIEWSKI

GALERIA RZĄDOWA

Nowy rok zaczął się, można rzec, energetycznie. To na świecie, bo w Polsce wieje wbrew pozorom nudą. Nie zdarzy się nic spektakularnego ani przełomowego. Koślawy i kabaretowy rząd Donalda Tuska będzie kompromitował dalej sens słowa „rządzenie” i zajmował się jedynie zwalczaniem opozycji oraz szczątek idei i zapisów konserwatywnych, które pozostały po rządach Prawa i Sprawiedliwości. Szczególnie w edukacji, gdzie i tak już widać zgliszcza. Machina tępoty będzie teraz wtłaczana do szkół rozrządzeniami, żeby ominąć weto prezydenta Karola Nawrockiego. Być może nasili się nagonka na opozycję, może kogoś uda się aresztować, ale ten chroniczny bezwład, który zawsze towarzyszy rządom Tuska będzie trwał w najlepsze, a Polska będzie li tylko obserwatorem tektonicznych zmian w polityce światowej i europejskiej. To, co najbardziej zdumiewa po tych dwóch straconych dla kraju latach, to absolutnie ta koszmarna, tragikomiczna galeria rządowych postaci.

Niby wszyscy to widzą, że trzy czwarte tej ekipy to katastrofa personalna, intelektualna i brak jakichkolwiek kompetencji do sprawowania władzy nawet na szczeblu lokalnym. Tymczasem oni rządzą Polską. W prorządowych mediach nie pracują sami tępi propagandyści, więc oni też widzą i wiedzą, z kim mają do czynienia. Ale milczą lub co najwyżej pozwolą sobie czasami na jakąś uszczypliwość wobec któregoś ministra. I nie jest wcale tak, że Koalicja 13 grudnia i sam Donald Tusk nie mogliby wystawić „lepszej” drużyny. Nie, premier wystawił najgorsze i najśmieszniejsze postaci, jakimi dysponował. Nie tylko wiernych i miernych, ale po prostu kompromitujących jego samego. I to niezależnie od barw partyjnych. Jakim cudem w normalnym państwie ministrem zdrowia może zostać Izabela Leszczyna? Jak można oddać stery edukacji Barbarze Nowackiej, która nie ma podstaw do tego, by kierować podstawówką. Elektorat obecnej władzy nie składa się z galerii przygłupów i samych silnych razem. Wyborcy Tuska muszą przecież dostrzegać miernotę tej ministerialnej galerii. A jednak i oni, i opozycja, i dziennikarze, pogodzili się już z tym, że obcujemy na co dzień z ekipą pozbawioną jakichkolwiek kompetencji do zarządzania państwem.

Wydawało się, że tandemu Barbara Nowacka – Katarzyna Lubnauer już nikt nie pokona, że nic nie przebije trampek minister Hanny Wróblewskiej w Berlinie czy nieustannego dukania ministra Andrzeja Domańskiego w studiach telewizyjnych. A jednak przyszedł on – rzecznik rządu, „zawodnik wagi ciężkiej”, jak sam go nazwał Tusk. Adam Szłapka. Koszmar z Alei Ujazdowskich wydaje się być i tak delikatnym nawiązaniem filmowym. Pan „Y”, który na każde pytanie ma odpowiedź na literę „y” (multiplikowaną dziesiątki razy w kolejnych sekundach i minutach), jest zjawiskiem nie do powtórzenia. Charakterystyczna dla niego niemożność mówienia i składania zdań po polsku, brak wiedzy o tym, o czym ma mówić, nie mogą być chyba przypadkowe. Z jakichś powodów Donald Tusk wyznaczył tego biednego człowieka do pełnienia tak odpowiedzialnej funkcji. Wyobraźmy sobie choć jedną konferencję prasową, na której dziennikarze wszystkich mediów zadają pytania „bez znieczulenia”. Cóż by po niej zostało z Adama Szłapki? Odpowiedź jest prosta: zostałoby już tylko samo „y”. Galeria rządowa jest bogata w postaci zbliżone do Adam Szłapki, ale jego trudno jest naprawdę przebić. Żalić się nad losem rzecznika nie warto, bo chyba jest na tyle świadom tego, że każdy jego wywiad, każda konferencja prasowa to bezprzykładna kompromitacja. Pytanie pozostaje otwarte, dlaczego Donald Tusk wybrał sobie taką galerię postaci. I tylko bohater strażaków, minister Marcin Kierwiński ratuje honor tego rządu. On wie, że służba jest najważniejsza.

eprasa.pl ffd7aceac8

Seks w małym mieście



eprasa.pl ffd7aceac8



Proj. K. Karnkowski

Problemy sercowe i seksualne Polaków żyjących na wsiach i w małych miasteczkach urosły do rangi **zjawiska społecznego**. Nic więc dziwnego, że niemal natychmiast pojawili się politycy i ideolodzy gotowi te bolączki zagospodarować.

Ludwik Pęzioł

Wybitnie nielubiany na prawicy Wilhelm Reich sformułował w „Psychologii mas wobec faszyzmu" (1933) tezę, zgodnie z którą tłumienie seksualności młodych ludzi prowadzi do faszyzacji psychiki i reprodukcji porządku kapitalistycznego. Choć jego metoda wnioskowania bywała pokrętna, a psychoanalityczne zapożyczenia trąciły intelektualnym humbugiem, trudno nie dostrzec trafnej intuicji: frustracja seksualna rodzi gniew i bezradność, a te emocje niemal zawsze da się politycznie spożytkować. Wystarczy wskazać „winowajcę zastępczego" niezaspokojonego libido, najlepiej tak, by pokrywał się z aktualnym wrogiem ideologicznym samych wskazujących. Choć i w wielkich miastach nie brakuje mężczyzn, spośród których rozmaici „seksualni podżegacze" mogliby kompletować swoją prywatną armię resentymentu, ich podstawowym rezerwuarem pozostają jednak wsie i miasteczka. Zanim spróbujemy odpowiedzieć na pytanie, jak dokładnie do tego dochodzi, warto zarysować socjologiczne tło tego procesu.

Drenaż „Polski powiatowej"

To, o czym wielu myślało, ale czego dotąd nie udało się jasno wypowiedzieć, potwierdził w jednej

eprasa.pl ffd7aceac8

ze swoich prac dr hab. Piotr Szukalski z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Łódzkiego. W najnowszych badaniach przeanalizował on mechanizm wysysania młodych ludzi z mniejszych miejscowości przez duże ośrodki miejskie, zwłaszcza: Warszawę, Kraków, Wrocław, Poznań i Trójmiasto. Kluczowy dla nas jest jednak fakt, że migracja ta ma wyraźnie zróżnicowany charakter płciowy. „Prowincję" opuszcza o 15–20% więcej kobiet niż mężczyzn, a nadwyżka mężczyzn nad kobietami stanowi problem niemal połowy polskich gmin, co potwierdzają również analizy Polskiego Instytutu Ekonomicznego. Przyczyny są dość proste. Duże miasta oferują więcej miejsc pracy w branżach sfeminizowanych; perspektywa zatrudnienia jako sklepikarka, nauczycielka czy fryzjerka rzadko odpowiada rozbudzonym aspiracjom młodych kobiet. Dochodzi do tego poszukiwanie „lepszej partii" oraz dążenie do emancypacji od spetryfikowanego modelu roli kobiety, wciąż jeszcze kultywowanego w mniejszych ośrodkach. Ten kierunek migracji radykalnie zmienia pejzaż społeczny małych miejscowości. Jednym z jego najbardziej doniosłych, a zarazem najsłabiej przepracowanych skutków jest sytuacja młodych dorosłych mężczyzn, którzy zostają na miejscu: z ograniczonym rynkiem pracy, zawężonymi perspektywami matrymonialnymi i narastającym poczuciem życiowego impasu.

Dane dotyczące życia seksualnego polskich mężczyzn ze wsi i małych miast wyraźnie pokazują skutki opisanej wcześniej dysproporcji demograficznej. Duże badanie z 2023 roku (aut. m.in. M. Przydacz, M. Chlosta i P. Dudek) wskazuje, że najmniej seksu uprawiają właśnie mężczyźni mieszkający na wsiach i w miejscowościach poniżej 20 tysięcy mieszkańców: około 20% z nich nie współżyje w ogóle, a kolejne 10% rzadziej niż raz w miesiącu. Warto dodać, że także w wielkich miastach sytuacja nie wygląda szczególnie optymistycznie, jednak odsetek mężczyzn niemających kontaktów seksualnych z kobietami jest tam istotnie niższy. Z najgłośniejszych badań seksuologa Zbigniewa Izdebskiego oraz zbiorczego raportu „Seksualna Mapa Polki" wynika z kolei, że odmienna jest także seksualność kobiet z mniejszych miejscowości. Różnice dotyczą późniejszej inicjacji seksualnej, silniejszego tabuizowania seksu oraz częstszego postrzegania go jako „obowiązku" w ramach stałego związku. Kobiety mieszkające na wsi mają również średnio mniejszą liczbę partnerów seksualnych.

NAJMNIEJ SEKSU UPRAWIAJĄ MĘŻCZYŹNI ZE WSI I MAŁYCH MIASTECZEK: OKOŁO 20% Z NICH NIE WSPÓŁŻYJE W OGÓLE, A KOLEJNE 10% RZADZIEJ NIŻ RAZ W MIESIĄCU.

Bez nuty protekcjonalności można też powiedzieć, że ludowa mądrość, zgodnie z którą mężczyźni gorzej znoszą samotność niż kobiety, okazuje się trafna. We wcześniej wspomnianym badaniu analizowano również zaburzenia natury psychicznej powiązane z seksualnością. Wykazano wyraźny związek między gorszą kondycją psychiczną a obniżoną aktywnością seksualną u mężczyzn, co sugeruje istnienie mechanizmu sprzężenia zwrotnego: samotność i brak bliskości pogarszają stan psychiczny, a pogorszony stan psychiczny dodatkowo utrudnia wejście w relacje intymne. Pozostawanie w związku i spełnienie seksualne bywają dla wielu mężczyzn warunkiem dobrej samooceny, poczucia realizacji własnej roli, a często także podstawowym źródłem regulacji emocjonalnej.

Nie bez znaczenia jest również fakt, że kobiety częściej dbają o swoich partnerów (zwłaszcza w kontekście zdrowia czy unikania uzależnień) niż oni sami. Dane z mniejszych miejscowości zdają się ten obraz potwierdzać. Liczne badania (m.in. M. Pikały i M. Burzyńskiej z 2023 roku) wskazują, że miejsce zamieszkania stanowi istotny czynnik ryzyka samobójstw. W przypadku mężczyzn ze wsi ryzyko to jest nawet o 60% wyższe niż wśród mężczyzn z miast. Samotność, brak relacji intymnych i ograniczone perspektywy życiowe tworzą tu mieszankę szczególnie destrukcyjną.

Kto jest winien?

Tylko niewielka część pozostawionych samym sobie mężczyzn potrafi przyjąć wyjaśnienie, że ich trudna sytuacja jest skutkiem bezosobowych procesów socjoekonomicznych. Gdy w grę wchodzi poczucie krzywdy i niesprawiedliwości, znacznie bardziej pożądane staje się wskazanie winnego niż cierpliwe „mędrkowanie". A winnych zastępczych nie brakuje.

Rasiści i szowiniści z ochotą wskażą „czarnoskórego" lub innego egzotycznego przybysza stanowiącego obiekt rzekomych fantazji Polek gotowych (w ich wyobrażeniach) od-

eprasa.pl ffd7aceac8

dać im się przy każdej nadarzającej się okazji. Szycie tego typu narracji bywa niekiedy ułatwiane przez środowiska feministyczne, które faktycznie reprodukują przekaz hierarchizujący mężczyzn: cudzoziemiec jako uosobienie atrakcyjności i kapitału kulturowego, „typowy Polak" jako ktoś brudny, bez ambicji, biedny i pozbawiony polotu. Choć są to grupy marginalne, znakomicie potwierdzają własne stereotypy, a ich przekaz, podchwycony i przetworzony, zaczyna żyć własnym życiem. W efekcie tego procesu to, o co lewica przez lata bezpodstawnie oskarżała część prawicy (rasizm czy białą supremację), zaczyna się w nowym pokoleniu sfrustrowanych mężczyzn realnie pojawiać, odwodząc prawicę w stronę kultu siły i prymitywnego terytorializmu.

Rasizm jest jednak tylko czubkiem góry lodowej. Istnieje również rozrastająca się ideologia pseudonaukowego mizoginizmu. „Red pill" doradza sfrustrowanym mężczyznom bezwzględny udział w liberalnym wyścigu szczurów: gromadzenie kapitału, statusu i symboli sukcesu w celu zdobywania kolejnych „samic". Z kolei bardziej defetystyczna (i budząca paradoksalnie więcej empatii) „black pill" odbiera samotnym mężczyznom jakąkolwiek nadzieję, każąc im uwierzyć, że „przegrali na loterii genetycznej" i wszelki ich wysiłek jest z góry skazany na porażkę.

Kolejnym wygodnym winnym stają się poukrywani za każdym krzakiem „marksiści" i „socjaliści". W tej narracji to właśnie państwo opiekuńcze (poprzez redystrybucję, prawa pracownicze i emancypację kobiet) odebrało mężczyznom ich naturalną pozycję żywicieli i głów rodziny. Kobieta, która nie musi już ekonomicznie polegać na mężczyźnie, przestaje być „zmuszona" do kompromisu, a tym samym tzw. rynek matrymonialny staje się dla przeciętnego faceta bezlitosny. W tym ujęciu to socjalizm „zdemoralizował" relacje płciowe, a ratunkiem ma być powrót do nieskrępowanego kapitalizmu, który rzekomo przywróci hierarchię i „sprawiedliwy" porządek. Problem polega na tym, że jest dokładnie odwrotnie. Wolny rynek, generując skrajne nierówności majątkowe, produkuje również nierówności seksualne. Koncentracja kapitału idzie w parze z koncentracją atrakcyjności i możliwości reprodukcyjnych, co można zresztą bez trudu opisać językiem tak ukochanej przez mizoginistyczne środowiska psychologii ewolucyjnej. Liberalny kapitalizm nie demokratyzuje dostępu do relacji intymnych; on go brutalnie reglamentuje.

WOLNY RYNEK, GENERUJĄC SKRAJNE NIERÓWNOŚCI MAJĄTKOWE, PRODUKUJE RÓWNIEŻ NIERÓWNOŚCI SEKSUALNE.

Wydawałoby się, że argument ten będą podnosić lewica i prospołeczna prawica. Tak się jednak nie dzieje. Choć logiczne wydawałoby się wyjście naprzeciw mężczyznom z małych miejscowości, mainstreamowa lewica reaguje wobec nich niechęcią, pogardą i moralnym potępieniem. Obwinia ich za całe zło społeczne, redukując ich problemy do „toksycznej męskości", po czym odsyła ich na psychoterapię. Naprawdę nieliczne środowiska z kręgu tzw. alt-leftu dostrzegają w nich osoby realnie wykluczone, którym należałoby zaoferować coś więcej niż diagnozę lekarską. Z kolei prawica katolicka również nie wykazuje szczególnego zainteresowania losem tych ludzi, co może częściowo tłumaczyć fakt, że w Polsce nie obserwujemy wzrostu praktyk religijnych wśród młodych mężczyzn z małych miejscowości, zjawiska notowanego niekiedy na Zachodzie, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych.

CHOĆ LOGICZNE WYDAWAŁOBY SIĘ WYJŚCIE NAPRZECIW MĘŻCZYZNOM Z MAŁYCH MIEJSCOWOŚCI, MAINSTREAMOWA LEWICA REAGUJE WOBEC NICH NIECHĘCIĄ, POGARDĄ I MORALNYM POTĘPIENIEM.

Wszystko to znajduje swoje odbicie w preferencjach wyborczych. Badania jasno pokazują, że młodzi mężczyźni chętnie głosują na formacje konserwatywno-liberalne (a więc de facto liberalne), choć to właśnie liberalizmowi w jego ekonomicznej postaci w dużej mierze „zawdzięczają" swoje obecne położenie.

eprasa.pl ffd7aceac8

I Tusk nie chce, i TUSKA NIE CHCĄ

Z tego, że w rokowaniach dotyczących wojny ukraińskiej Polska nie istnieje, w naszym kraju są niezadowoleni – pozornie – **wszyscy**. Dlaczego pozornie? O tym dalej. Najpierw jednak pewna generalna refleksja.

Piotr Skwieciński

W związku z tą nieobecnością w Polsce panuje rozżalenie, a wielu skłonnych jest uważać, że mamy do czynienia z krzywdą uczynioną nam przez jakąś siłę zewnętrzną. Oczywiście decyzje czynników zewnętrznych są tu kluczowe.

Ale zarazem ta nieobecność jest w jakimś sensie naturalna. Nie jest bowiem tak, jak zdaje się uważać spora część Polaków, że jeśli ktoś



Fot. Dinendra Haria / Zuma Press / Forum

eprasa.pl ffd7aceac8

jest naprawdę istotny – ogólnie albo w jakiejś konkretnej sprawie – to można tę jego wagę unieważnić za pomocą złośliwego niezauważania. Tak się po prostu nie da. A jeśli jednak tak się stanie, jeśli ktoś do rozmów nad jakimś ważnym problemem nie chce dopuścić jakiegoś kluczowego interesariusza, to ten fakt zauważają wszyscy. I odnotowują to jako czyjąś, jakiegoś podmiotu lub koalicji podmiotów, świadomą decyzję. Słuszną lub niesłuszną, ale zauważalną. Tymczasem nasza nieobecność w negocjujących gronach jest powszechnie przyjmowana jako coś naturalnego, co samo w sobie dowodzi, że wcale nie jesteśmy, jeśli chodzi o Ukrainę, tak kluczowi, jak skłonni bylibyśmy wierzyć.

Nie jest też tak, żeby to „pominięcie" Polski było nowością. I to w niemal dokładnie tej samej sprawie i w podobnej konfiguracji. Przypomnijmy – w roku 2014 Polska odegrała znaczącą rolę dla podtrzymania ukraińskiej Rewolucji Godności, galwanizując poparcie dla niej ze strony Zachodu, a potem – sprzeciw wobec aneksji Krymu i dokonywanej pod maską separatyzmu agresji rosyjskiej w Donbasie. Jednak szybko nastąpiło wygaszenie polskiej aktywności, a gdy w Mińsku rozpoczęły się negocjacje nt. zakończenia konfliktu, naszego kraju przy stole nie było.

Też, tak jak dziś, powodowało to rozczarowanie, więc rządzący tłumaczyli to kuluarowo najczęściej w taki sposób, że wszyscy wiedzą, iż siła złego na jednego, te negocjacje muszą się skończyć skrzywdzeniem Ukrainy, my nie jesteśmy w stanie nic na to poradzić, więc zaznaczamy naszą prawość i przyjaźń dla południowo-wschodniego sąsiada dumną absencją. To jest zresztą i dziś jedno z tłumaczeń. Ujawniające, dodajmy, coś specyficznego – odwołujące się mianowicie do przekonania, iż aktywność państwa na terenie międzynarodowym ma służyć przede wszystkim nie realizowaniu jego interesów, tylko manifestowaniu własnej szlachetności. Jak widać, używający tego tłumaczenia zakładali i zakładają, że jest to pogląd dogłębnie zinternalizowany przez Polaków.

Po co windować Polskę?

Najpopularniejsze jednak wytłumaczenie obecnej polskiej nieobecności jest inne. Brzmi mianowicie: to przez rozbicie wewnętrzne. Premier i szef MSZ walczą z prezydentem (w częstszej wersji: prezydent próbuje odebrać kompetencje rządowi). Zagraniczni partnerzy nie wiedzą, kogo zapraszać, więc wolą nie zapraszać nikogo.

ZWYCIĘSTWO KAROLA NAWROCKIEGO ZAŁAMAŁO CELEBRYCKI STATUS TUSKA I ZACHODNIOEUROPEJSCY DECYDENCI NIE WIDZĄ TERAZ ŻADNEGO POWODU, DLA KTÓREGO MIELIBY MU KADZIĆ.

Jest w tym coś z prawdy. Bez wątpienia wewnątrzpolska walka kompetencyjna (będąca szczególnym przejawem szerszego zjawiska – eksterminacyjnej wojny politycznej) nie sprzyja zewnętrznej efektywności państwa, co potęguje fakt orientowania się obu zwalczających się ośrodków na inne potęgi (rząd na Unię, Pałac na Trumpa).

Ale tłumaczenie to, samo w sobie nie nieprawdziwe, jest dalekie od pełności. Abstrahuje bowiem od faktu, że – jakby nie patrzeć – siły obu stron są w Polsce nierówne – rząd ma wielokrotnie więcej realnych kompetencji i możliwości prowadzenia polityki zagranicznej. Prezydent ma ich znacznie mniej, a wetować decyzji premiera i MSZ w tej materii przecież nie może. Nie jest więc tak, że partnerzy zagraniczni, gdyby chcieli naszego uczestnictwa, nie wiedzieliby, kogo zapraszać. Przynajmniej ci europejscy i ukraińscy.

Dlatego jeśli nas nie zapraszają, to nie dlatego, że polska sytuacja wewnętrzna ich przerosła, tylko dlatego że nie chcą.

Bo nie chcą (mówię teraz o potęgach europejskich) ewidentnie. Udział Polski w tych działaniach można byłoby przecież postrzegać jako wzrost jej znaczenia do poziomu Niemiec, Francji, Wielkiej Brytanii czy Włoch. Najważniejsi nigdy nie chcieli dzielić się swym statusem, to najzupełniej normalne. Gdyby (jak pisałem wyżej) Polska rzeczywiście dorosła siłą do ich poziomu, byłoby inaczej. Ale nie dorosła, więc po co samemu dobrowolnie zmniejszać swoje znaczenie? Po co kogoś innego samemu podciągać wzwyż?

Ukraina dostrzega ten stosunek zachodnioeuropejskich potęg. A ponieważ one są dla niej z oczywistych względów (Kto finansuje jej budżet i armię, kto przynajmniej nie wyklucza wysłania nad Dniepr swoich żołnierzy? Przecież nie Polska) najważniejsze, nie widzi powodu, aby dopominać się o obecność naszego kraju.

Oczywiście, można sobie wyobrazić scenariusze, w których postawa państw zachodnioeuropejskich w tej sprawie stała się inna. Mogłoby się tak stać na przykład, gdyby czuły one potrzebę windowania pozycji

eprasa.pl ffd7aceac8

politycznej Donalda Tuska. I bardzo możliwe, że gdyby wszystko działo się przed rokiem, przed polskimi wyborami prezydenckimi, kiedy obecny premier z jednej strony przeżywał apogeum popularności wśród europejskiego establishmentu jako skuteczny pogromca prawicy, jako ktoś, kto – co więcej – może pokazać wszystkim, iż tę prawicę da się nie tylko odsunąć od władzy, ale całkiem i na zawsze wdeptać w ziemię, to obecność naszego kraju w okołoukraińskich pertraktacjach byłaby wręcz celebrowana. Ale zwycięstwo Karola Nawrockiego załamało ten celebrycki status Tuska i zachodnioeuropejscy decydenci nie widzą teraz żadnego powodu, dla którego mieliby mu kadzić.

Najlepiej nic nie robić

Tym bardziej że – i to jest drugi z najważniejszych punktów – wszystko wskazuje na to, że sam Tusk wcale nie chce usiąść do negocjacyjnego stołu.

Zauważmy – kiedy w 2014 roku Polska nagle przerwała swoją proukraińską aktywność, zapadła w sprawach wschodnich w letarg i potem w efekcie nie została zaproszona do udziału w pertraktacjach w Mińsku, też rządził Tusk. Sytuacja po prostu się powtarza.

Dlaczego? Z kilku powodów. Wymieńmy najważniejsze.

Po pierwsze, premier znany jest z tego, że sprawy wschodnie tak naprawdę go nie interesują, a ambicje (i osobiste, i kraju, którym przyszło mu rządzić) lokuje gdzie indziej. Opublikowany w 2009 roku, z błogosławieństwem Tuska, artykuł Radosława Sikorskiego (który zawsze podzielał te intuicje i idiosynkrazje swojego szefa) o tym, że nowa (wówczas) ekipa rządząca będzie realizować wizję „Polski piastowskiej" jako przeciwieństwo „jagiellońskiej", w połączeniu z realizowanym wówczas resetem, nie pozostawiały co do tego wątpliwości. Nie, nie chodzi tu o żadną tam rzekomą prorosyjskość premiera i jego ministra, prorosyjscy oni nigdy nie byli ani nie są – pogardzają natomiast wszystkimi narodami poradzieckimi, Wschodem jako całością się brzydzą i jeśli mogą, to z gestem wielkopańskiej wyższości odwracają się od niego. Dziś też na tyle, na ile mogą, się odwracają.

Dla Tuska charakterystyczne jest beznamiętne odcinanie się od wszelkich działań, które mogłyby zakłócić jego priorytetowe plany. W 2014 roku takim planem było objęcie wysokiego stanowiska w UE. Decydujący o tym politycy zachodni chcieli, aby ówczesny kryzys ukraiński zaklajstrować w sposób dający możliwość powrotu do „business as usual" z Rosją, a ówczesna polska opinia publiczna nastawiona była na czynną antyrosyjskość – Tusk zdecydował więc po prostu o wygaszeniu aktywności w kwestii ukraińskiej, aby i wilk był syty, i owca cała. Podobnie jest teraz – wiadomo, że jakakolwiek stanowcza postawa w rozmowach na temat pokoju na Ukrainie byłaby dla niego wysoce ryzykowna, bo naraziłaby go na falę gniewu któregoś z odłamów polskiej opinii publicznej. A wybory trwają przecież nieustannie...

> POLITYKA MIĘDZYNARODOWA ODBYWA SIĘ DZIŚ WE WSZECHOGARNIAJĄCYM CIENIU DONALDA TRUMPA.

Dodatkowo polityka międzynarodowa odbywa się dziś we wszechogarniającym cieniu Donalda Trumpa. Tusk, ewentualnie uczestnicząc w pertraktacjach, ryzykowałby narażeniem się albo jemu, albo liderom zachodnioeuropejskim (niechęć do antagonizowania POTUS-a wpływa też oczywiście na bierność ośrodka prezydenckiego, ale jest ona znacznie mniej ważna, bo jak już napisaliśmy, ma on wielokrotnie mniejsze możliwości działań międzynarodowych, a wbrew rządowi – niemal żadne). Lepiej więc nie wchodzić na to pole minowe, nic nie robić i milczeć.

Dodajmy do tego, że nasza aktywność – zarówno w czasie pierwszego Majdanu (znacząca wizyta w Kijowie prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego wraz z ówczesnym prezydentem Litwy, co w Moskwie, czyniąc aluzję do czasów Dymitra Samozwańca, nazwano „polsko-litewską interwencją"), jak i w czasie, po drugim Majdanie (lata 2013–2014) i po rozpoczęciu pełnoskalowej agresji (lata 2022 i 2023) – doskonale daje się opisać w kategoriach tego, co historycznie wychodzi nam zawsze najlepiej – czyli akcyjności. Przynoszącej czasem sukcesy spektakularne, ale których nie potrafimy utrwalić w dłuższej, mozolnej aktywności. Zwycięskich szarż nieprzynoszących wygranych wojen.

I mielibyśmy już opisane główne przyczyny naszej obecnej nieobecności w rozmowach na temat wojny ukraińskiej.

***

A wszystko to razem składa się na obraz zjawiska, współcześnie chyba w największej mierze kształtującego pozycję i obraz naszego kraju, czyli zdumiewającego polskiego imposybilizmu, niewytłumaczalnego dla co roztropniejszych cudzoziemskich obserwatorów.

Ale cóż. Najwyraźniej po prostu tak mamy.

eprasa.pl ffd7aceac8

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Karol Gac

Kameleon Tusk

Donald Tusk, niczym kameleon, opanował sztukę dostosowywania się do zmieniającej się rzeczywistości. Nawet jeśli często jest to siermiężne i bezczelne, to nie powinno się tego lekceważyć.

Premier lubi się przedstawiać jako polityk konsekwentny, przewidywalny i ten, który miał rację. Problem w tym, że jego własne słowa są niewiele warte. Dziś Tusk mówi jedno, a jutro powie drugie. I nie jest ważne to, że będzie to stało ze sobą w jawnej sprzeczności. Najważniejsze, aby pasowało do tego, co tu i teraz. Kto by się przejmował resztą?

Obserwując Tuska na przestrzeni lat, nawet ostatnich, łatwo przywołać liczne wypowiedzi, które zostały zakwestionowane przez samego... Donalda Tuska. Mur na granicy? Miał nigdy nie powstać, choć przecież to dzięki Platformie został zbudowany, bo to ona strzeże granicy. I tak dalej, i tak dalej. Można się z tego śmiać i szydzić, ale ostatecznie – działa.

Wolty Donalda Tuska wynikają przeważnie z chłodnej kalkulacji. Premier patrzy, skąd aktualnie wieje wiatr i jak ustawić żagle, by znów być na czele. To nic, że w przeszłości (bliższej lub dalszej) mówił coś innego. To zostanie odnotowane wyłącznie przez najbardziej zaangażowanych, a ci i tak mają już swoje zdanie. Najważniejsze, że można przywdziać nową maskę, która kupi trochę czasu (i poparcia).

Nie ma takiej rzeczy, której Tusk nie powie lub nie zrobi. Wczoraj premier mówił, że coś „na pewno się nie wydarzy”? Nic nie szkodzi. Dziś wytłumaczy, że „okoliczności się zmieniły”. Nie chodzi tu o zwykłą elastyczność, którą politycy zawsze się chwalą, lecz o coś głębszego: o przekonanie, że pamięć wyborców jest krótka, a archiwa, choć niewygodne, są zwyczajnie nieszkodliwe.

Jego język przeszedł w ostatnich latach wyraźną ewolucję. Tusk, który przed wyborami z wyższością dystansował się od „ludowych lęków”, dziś mówi o bezpieczeństwie, granicach, porządku i twardym państwie. Człowiek, który przez lata budował swój wizerunek jako antytezy „prawicowego straszenia”, coraz częściej sięga po słowa i akcenty, które jeszcze wczoraj uznałby za populistyczne. I robi to bez większego skrępowania, a wręcz z ostentacyjną bezczelnością.

Warto zauważyć, że wbrew kampanijnym przewidywaniom i obawom Tusk nie przeprowadził – z różnych względów – lewicowej rewolucji, a przynajmniej nie w takim wymiarze, w jakim chcieliby jego wyborcy. Wręcz przeciwnie. Tusk konsekwentnie przesuwa akcenty na prawo: więcej mówi o państwie narodowym, o sile, o interesie. Nie dlatego, że odkrył nową ideową prawdę, lecz dlatego, że wyczuł nastroje społeczne. Tym samym stara się odebrać tlen największej partii opozycyjnej. Oczywiście w myśl zasady: „Cóż szkodzi obiecać?”. Pytanie, na ile dadzą się na to nabrać wyborcy jesienią 2027 roku.

eprasa.pl ffd7aceac8



Eugenika po polsku, czyli uśmiechnięta medycyna

Fot. Adobe Stock

Jeżeli sądzicie, że konstytucja gwarantuje równy dostęp obywateli do służby zdrowia, to mam dla Was złą wiadomość. Już nie! Obecnie lekarz – nawet jednoosobowo internista z SOR – może zdecydować o nieleczeniu pacjenta i faktycznym uśmierceniu go. Nie każdego. Na śmierć mogą być skazane osoby chore na choroby przewlekłe, w każdym wieku, ale również np. chorzy na zespół Alzheimera, w depresji psychicznej, karmieni pozajelitowo, chorzy na przewlekłe choroby płuc – na przykład na astmę, nadciśnienie czy pacjenci (również dzieci), którzy wymagają stałej opieki innych osób. Wyrok wydany przez lekarza jest **nieodwracalny** i na stałe wpisany do ogólnopolskiej bazy danych o pacjencie.

Paweł Pietkun

Dzisiejsza Polska coraz mocniej przypomina antyutopijne społeczeństwo opisane w sławnej powieści Aldousa Huxleya „Nowy wspaniały świat". Za zasłoną rozliczeń opozycyjnych polityków i przejmowania pełni władzy przez rządzącą koalicję, która sięgnęła również po próbę unieważnienia wyborów prezydenckich, za zasłoną przygotowań do wojny z Rosją i wszechobecnego lęku przed taką wojną, skutecznie wzmacnianego deklaracjami rządu o wysłaniu do każdego obywatela instrukcji dotyczącej działań na wypadek wojny (Drodzy Czytelnicy, otrzymaliście jakieś?), budową schronów czy dyskusjami o malejącej inflacji i rosnącym bogactwie Polski, zmienił się Kodeks Etyki Lekarskiej oraz wprowadzono nowe narzędzie – tzw. terapię daremną. To – mówiąc wprost – jak najbardziej oficjalna zgoda na uśmiercanie pacjentów trafiających do szpitali już na etapie szpitalnych oddziałów ratunkowych. Choć wskazane jest, żeby zgodę taką wydała trzyosobowa komisja, w szczególnych przypadkach może o tym decydować również jeden le-

eprasa.pl ffd7aceac8

karz. To zgoda tym groźniejsza, że raz wydana jest wpisywana do Internetowego Konta Pacjenta, rozwiązania, którym lubi chwalić się obecny rząd, i obowiązuje do końca życia, nawet wtedy, kiedy pacjentowi uda się przeżyć kontakt ze służbą zdrowia dłużej niż przepisane mu kilka miesięcy.

Zakaz ratowania życia

Od ubiegłego roku obowiązuje zakaz (!) stosowania terapii daremnej – nowego w polskiej medycynie narzędzia, wciąż mylonego przez pacjentów i ich rodziny z terapią uporczywą – jest rozwiązaniem przerażającym tym bardziej, że raz wpisany wyrok obowiązywać ma również placówki prywatne, w których lekarze być może podjęliby się leczenia pacjenta, widząc szanse na jego uratowanie. Niestety nie wolno im tego robić – jest to zabronione wprost. Na co sami (wielu lekarzy protestuje przeciwko temu rozwiązaniu) wielokrotnie zwracali uwagę.

Dyskusja na temat zmian w Kodeksie Etyki Lekarskiej (która rozpoczęła się już w 2023 roku) i wprowadzenia do polskiej medycyny nowego terminu i nowego standardu – właśnie terapii daremnej – odbyła się raczej dyskretnie, podobnie jak dyskretnie rozwiązanie to zostało wprowadzone. Na nic zdała się pełna dramatyzmu dyskusja, która niemal rok temu odbyła się na forum Parlamentarnego Zespołu ds. Ochrony Życia i Zdrowia Polaków, w której wzięli udział lekarze głośno zgłaszający swoje zastrzeżenia. Ich memento nie zostało wysłuchane.

Zmieniony Kodeks Etyki Lekarskiej mówi wprost: „Lekarz nie ma obowiązku podejmowania i prowadzenia resuscytacji u pacjentów znajdujących się w stanie terminalnym. Decyzja o zaprzestaniu resuscytacji należy do lekarza lub zespołu lekarzy i jest związana z negatywną oceną szans leczniczych". I kolejny zapis: „Lekarzowi nie wolno stosować terapii daremnej".

Przygotowane wcześniej wytyczne precyzują, że obowiązek faktycznego uśmiercenia pacjentów dotyczy „osób, których spodziewany czas przeżycia wynosi poniżej 12 miesięcy, w tym tych, u których występuje m.in.: zaawansowana niewydolność serca, aktywna/rozsiana choroba nowotworowa, przewlekła choroba płuc w okresie domowej tlenoterapii, zaawansowane otępienie i inne choroby neurodegeneracyjne, marskość wątroby, wytworzona przezskórna gastrostomia odżywcza (PEG) oraz inne choroby przewlekłe o krótkim przewidywanym czasie przeżycia, które były hospitalizowane więcej niż raz z powodu zaostrzenia zaawansowanej choroby przewlekłej w ciągu ostatnich 12 miesięcy, które wymagają stałej opieki innych osób, które są pod stałą opieką zakładów opiekuńczo-leczniczych lub hospicjów, u których w ostatnich tygodniach nastąpiło nieodwracalne pogorszenie stanu ogólnego".

TO JAK NAJBARDZIEJ OFICJALNA ZGODA NA UŚMIERCANIE PACJENTÓW TRAFIAJĄCYCH DO SZPITALI JUŻ NA ETAPIE SZPITALNYCH ODDZIAŁÓW RATUNKOWYCH.

Śmierć dla słabych

Problem w tym, że wypełnienie tej definicji otwiera możliwość faktycznego skazania na śmierć także osób zmagających się np. z depresją, bez względu na wiek (wystarczy dwukrotna w ciągu roku hospitalizacja), dzieci niepełnosprawnych – również ruchowo, czy niewidomych – a nawet dzieci z dużym stopniem autyzmu, które wymagają wsparcia opiekuna, czy osób w podeszłym wieku, jeżeli lekarz na SOR uzna, że osoba taka cierpi na starcze otępienie.

Przepis jest tak przygotowany, że w definicję łapią się praktycznie wszyscy pacjenci leczący się na choroby serca, cukrzycę, nadciśnienie (według NFZ problem dotyczy obecnie 10 do 12 mln Polaków), astmę (według NFZ to 2,2 mln Polaków) czy wymagający regularnej dializy.

To przerażająco wielka skala. I choć nie napisano tego wprost, obecnie nad Wisłą stuprocentowe szanse na leczenie w publicznej, ale również prywatnej, służbie zdrowia mają wyłącznie ludzie zdrowi, młodzi i doskonali.

Brzmi znajomo? Tak działa eugenika, czyli nauka rozwijana przede wszystkim w III Rzeszy czy w Chinach epoki rewolucji kulturalnej zakładająca możliwość ulepszania cech dziedzicznych gatunku ludzkiego poprzez selekcję genetyczną. W praktyce oznacza to dążenie do stymulowania rozrodu osób o cechach uznanych za pożądane oraz ograniczania rozrodu osób o cechach uznanych za negatywne. Jej najbardziej drastyczna forma rozwinęła się w III Rzeszy i była uznana za główne narzędzie „higieny rasowej" – polegała na fizycznej eliminacji osób niepełnosprawnych, chorych

eprasa.pl ffd7aceac8

psychicznie i dzieci z wadami rozwojowymi, uznanych za „życie niewarte życia”. Z czasem zakres osób skazanych na śmierć również wybierano według kryteriów rasowych.

w tym komisja przygotowująca protokół terapii daremnej, podejmują decyzję obowiązującą do końca krótkiego, w założeniach medyków, życia. I często faktycznie jest ono krótkie, bo odmowa dializy oznacza nieodwracalną śmierć w męczarniach, podobnie jak odmowa podania antybiotyków może przyspieszyć śmierć wcale niezwiązaną z rzeczywistą, przewlekłą chorobą pacjenta.

WPISANIE PROTOKOŁU TERAPII DAREMNEJ DO KONTA PACJENTA OZNACZA, ŻE W ŻADNYM SZPITALU – RÓWNIEŻ PRYWATNYM – W CAŁEJ POLSCE TAKI PACJENT NIE BĘDZIE JUŻ LECZONY.

Wyrok bez sądów

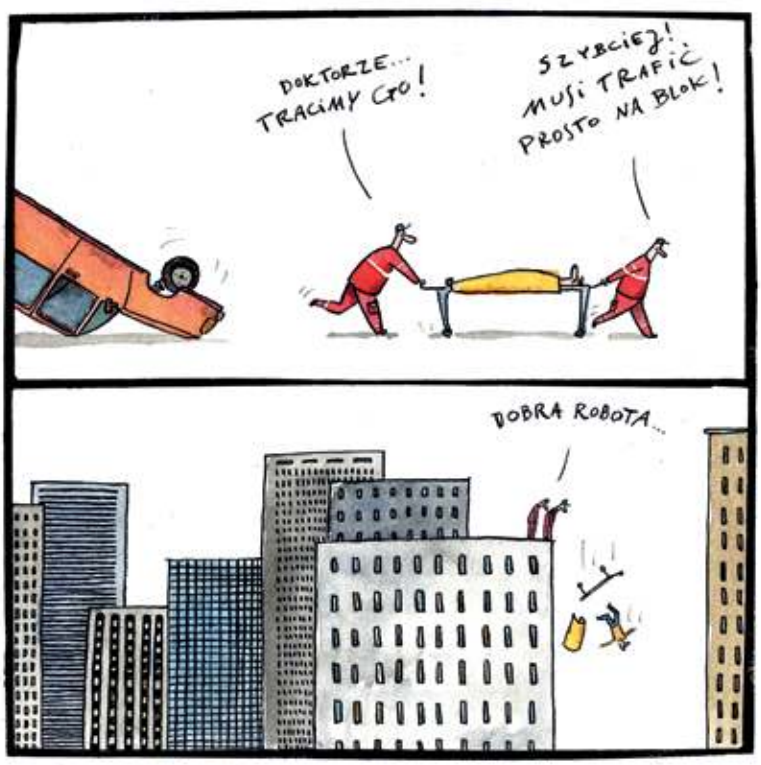
Dlaczego nowe przepisy lekarskie są groźne? Wprost oznaczają, że lekarz może odmówić nie tylko leczenia na jedną z tysięcy przewlekłych chorób, ale nawet przepisania terapii antybiotykowej, o czym przekonali się opisani w ogólnopolskich mediach rodzice dzieci, które właśnie w oparciu o nowy protokół terapii daremnej zostały skazane na śmierć, opiekujący się zaś nimi medycy zajmowali się nie leczeniem (nawet prostych chorób), a jedynie uśmierzaniem ich bólu. Wiele z tych dzieci żyło znacznie powyżej 12 miesięcy przewidzianych przez nieludzkie, medyczne, prawo.

Wpisanie protokołu terapii daremnej do Konta Pacjenta oznacza wprost, że w żadnym szpitalu – również prywatnym – w całej Polsce taki pacjent nie będzie już leczony ani na swoją przewlekłą, ani na żadną inną chorobę. W przypadku utraty przytomności przez pacjenta i braku możliwości skontaktowania się z nim – przy czym to, co często za kontakt uznają neurolodzy (czyli na przykład mrugnięcie okiem, łzy, rozpoznawanie bliskich czy ściskanie rąk w odpowiedzi na pytania bliskich), dla innych specjalizacji kontaktem już nie jest – lekarze,

Prawa człowieka w odwrocie

Powołany do życia i umieszczony w ubiegłym roku w lekarskim kodeksie protokół terapii daremnej jest rażącym przykładem łamania konstytucji, ale być może rządzącym jest to na rękę – a rząd Koalicji 13 grudnia stosuje przepisy konstytucji tak, jak je rozumie. Jest to jednak narzędzie w rażący sposób stojące w sprzeczności z prawami uniwersalnymi – z Powszechną Deklaracją Praw Człowieka na czele – ale również z przepisami UE, w której o decyzji dotyczącej odstąpienia nawet od uporczywej terapii (nie jest to wprowadzona w Polsce terapia daremna) ostatecznie postanawia sąd. To przepis, który wymaga nagłośnienia, dyskusji i interwencji prezydenta RP. Dla dobra obywateli i Rzeczpospolitej. S

BLOK MICHALSKI



eprasa.pl ffd7aceac8

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Monika Małkowska

Widziałam orła cień

Jest pod ścisłą ochroną gatunkową i człowiekowi nie wolno nawet zbliżać się do jego gniazda, żeby go nie niepokoić. Nazywa się Orzeł Biały, potocznie zwany bielikiem lub birkutem. Jak rozłoży skrzydła i wzleci, to klękajcie narody: od pierwszego pióra do ostatniego po przeciwnej stronie mierzy ponad dwa metry. No i te szpony! A ten zakrzywiony dziób! Od razu widać, że drapieżnik. Nie bez powodu zachwycił Lecha, naszego protoplastę, założyciela państwa Polan, który umieścił białego ptaka w swym herbie, a pod jego gniazdem postanowił osiąść, nadając osadzie miano Gniezna. Klituś bajduś z tym Lechem – za to pewniak, że orła wprowadzili na herb rozgałęzieni rodzinnie Piastowie jakoś w drugiej połowie XIII stulecia. Na oficjalny herb całego państwa wyniósł orła Przemysław II w 1295 r., nakładając mu na łeb koronę. Przez stulecia drapieżca ewoluował w zakresie pozy i urody, lecz dostojeństwa ani bojowego charakteru nie tracił. W dobie panowania Stanisława Augusta dodatkowo obarczono jego szpony pozłacanymi królewskimi insygniami. Nosił też koronę z najcenniejszego kruszcu, którego to atrybutu władzy monarszej został pozbawiony w 1944 r., na co napierali polscy komuniści z Wandą Wasilewską na czele. „Łysego" orła zalegalizowano w 1952 r. Przy okazji zdeformowano mu łeb i oko, a także odarto pazury ze złota. Koronę przywrócił mu w 1990 r. Andrzej Heidrich, nasz wybitny projektant druków „poważnych", które choć w powszechnym obiegu, nie przynosiły autorowi rozgłosu – jak znaczki pocztowe, dokumenty, banknoty i insygnia orderów.

Wprowadzając do godła poprawki, Heidrich wzorował się na projekcie Zygmunta Kamińskiego z 1927 r., który z kolei nawiązywał do orła z czasów Poniatowskiego. Ta wersja trwała do 2018 r., kiedy – z inicjatywy ministra Piotra Glińskiego – znów zaczęto kombinować przy państwowych symbolach. Godło postanowiono dostosować do aktualnych technologii, według których skrzydła miały być idealnie symetryczne; w koronie – prześwity; nogi pokryte złotem po całości, aż do piór. Plany jakoś nie zostały wprowadzone w życie, jednak inicjatywa nie zarzucono. I oto pod okiem obecnego rządu wznowiono dyskusję nad make-upem orła. W maju 2025 r. ówczesna ministra kultury powołała zespół ekspercki mający zadecydować o unowocześnieniu godła. Na początku grudnia odbyło się pierwsze posiedzenie. Zmodyfikowaniu ulegną godło, flaga, a nawet hymn. W tym przypadku nie chodzi o ideologię, lecz o dopasowanie orła do wymogów współczesnej grafiki użytkowej i zasad heraldyki. Jak się okazuje, obecnie ptak ich nie spełnia: oglądany z odległości przypomina płaskorzeźbę (efekt „cieniowania" szarością) – a powinien być płaski. I jeszcze coś: w tle używany bywa kolor cynobrowy, a wymagany jest karmazyn. No dramat! Żeby nie było – jest nad czym dyskutować i pobierać wynagrodzenie. Pierwsze obrady były owocne: członkowie zespołu przedstawili się sobie, wymienili koordynaty, ustalili, czy kolejne nasiadówki będą miały postać wirtualną czy w realu, skonsumowali kawę i ciastko i... przesunęli prace na rok 2026. Bo orzeł to też kura – złotonośna.

eprasa.pl ffd7aceac8

Maduro, czyli polityka naprawdę realna

Z pojmania i przewiezienia do USA Nicolása Madury polski rząd mógł **uczynić swój atut**. Pokazać Niemcom i Francuzom, że Warszawa pragnie stać się głównym partnerem w Europie mocarstwa zdolnego do tak spektakularnych operacji oraz do błyskawicznej zmiany geopolitycznych układów. Zamiast tego premier kolejny raz ogłasza uległość Berlinowi.

Mariusz Staniszewski

Nieumiejętność korzystania z szans, jakie daje historia, jest największym grzechem polityków. I nieważne, czy wynika z braku odwagi, głupoty, zdrady, czy też błędnych kalkulacji. Ostatecznie nie ma to większego znaczenia, gdyż efektem jest strata możliwości wzmocnienia pozycji swojego kraju lub wręcz jej osłabienie.

Atak Rosji na Ukrainę spowodował, że geostrategiczne znaczenie



Fot. Maxwell Briceno / Reuters / Forum

eprasa.pl ffd7aceac8

Polski wzrosło. Wynikało to zarówno z naszego położenia, jak i – a może przede wszystkim – z ambitnej i asertywnej polityki w pierwszych miesiącach konfliktu. Prezydent Andrzej Duda i premier Mateusz Morawiecki stanęli na czele wspierającej Kijów koalicji, zmobilizowali państwa Unii Europejskiej, wpłynęli na zaangażowanie USA w pomoc broniącej się Ukrainy i sami przekazali znaczne ilości sprzętu wojskowego, dzięki któremu mogła ona walczyć z najeźdźcą. Rola Polski była nie do przecenienia i z pewnością wpłynęła na politykę całego świata zachodniego i jego relacje z Rosją.

Pokaz siły

Teraz los daje nam kolejną szansę. Amerykanie właśnie wprowadzają do realnej polityki doktrynę Monroego, a właściwie rozszerzają ją jeszcze o doktrynę Trumana. W skrócie chodzi o bezwzględną dominację Stanów Zjednoczonych na półkuli zachodniej (Monroe) oraz powstrzymywania rozszerzania wpływów wrogich mocarstw – takich jak Chiny i Rosja – na państwa znajdujące się w pobliżu USA oraz regionów świata strategicznie ważnych dla Amerykanów (doktryna Trumana).

Chirurgiczna operacja w Wenezueli pokazała nie tylko zdolności amerykańskiej armii, ale przede wszystkim sprawczość polityki. Waszyngton przejmuje kontrolę nad wrogim do tej pory oraz bandyckim krajem bez setek czy tysięcy ofiar, które niechybnie pociągnęłaby za sobą operacja lądowa.

Siły specjalne US Army, porywając nielegalnie sprawującego urząd prezydenta Nicolása Madurę, odcięły w rzeczywistości głowę kartelowi narkotykowemu, który działał w ramach struktur państwa, i zmuszają do uległości polityczną elitę, która pozostała w Wenezueli. Zaprzysiężona na nowego prezydenta Delcy Rodríguez, do niedawna wiceprezydent tego kraju blisko współpracująca z Maduro, otrzymała jasne ultimatum: albo będzie współpracować z Waszyngtonem, albo podzieli los byłego już prezydenta.

Ten pokaz siły jest jasnym sygnałem nie tylko dla Chin i Rosji – których doradcy ciągle zresztą znajdują się w Wenezueli – że Trump nie będzie wiecznie negocjował, ale w razie potrzeby potrafi sprawnie uderzyć. Lekcję z tego muszą wyciągnąć także kraje, które pragną ograniczyć amerykańskie wpływy w Europie. Co prawda nie można się spodziewać, by doborowa jednostka Navy SEALs podobną operację jak w Caracas przeprowadziła w którymś z krajów Unii Europejskiej, ale zobaczyliśmy odwagę i determinację Amerykanów do realizowania swoich celów.

Jeśli w Polsce zapanowałby konsensus w sprawie uznania więzi atlantyckich jako absolutnie priorytetowych, zyskalibyśmy silny atut do wzmocnienia pozycji naszego kraju w UE. Moglibyśmy wychodzić z roli junior partnera w relacjach z Berlinem i Paryżem. Tyle tylko że Donald Tusk i cały liberalno-lewicowy establishment nie jest zdolny do takiego kroku.

Chore sentymenty

Niestety europejska lewica, w tym także polska, uwielbia komunistycznych morderców i oszustów. Broni Nicolása Madury, jakby był demokratą i wzorem uczciwości. Tak samo wcześniej stawała po stronie innych zbrodniarzy – Ernesta Che Guevary, Włodzimierza Lenina, Mao Zedonga, Fidela Castro, Wojciecha Jaruzelskiego czy Czesława Kiszczaka.

Czują jakąś przedziwną więź z dyktatorami, którzy łamią demokrację, okradają własne narody, prześladują opozycję, niszczą zachodnie społeczeństwa, wysyłając do USA i Europy tony narkotyków, wspierają i szkolą terrorystów, wprowadzają cenzurę czy walczą z wolnym rynkiem. Istotne jest tylko, by wszystko to robili w imię równości, walki z religią i amerykańskim imperializmem. Mogą wspierać imperializm chiński czy rosyjski, to nawet dla europejskiej lewicy jest sexy, ale muszą eksponować swoje obrzydzenie wobec USA, dolara, amerykańskich korporacji – szczególnie naftowych.

Można oczywiście znajdować analogie między coraz bardziej antydemokratycznym kursem Komisji Europejskiej oraz antywolnościowymi próbami zapanowania nad europejskimi narodami a różnej maści komunistycznymi dyktaturami, ale główna więź wynika z antyamerykanizmu. Jakby to Waszyngton był największym zagrożeniem dla wolności na świecie. Dekadę temu taki właśnie sąd wygłosił zresztą Donald Tusk. Gdy pełnił funkcję przewodniczącego Rady Europejskiej, uznał, że właśnie prezydentura Donalda Trumpa (gdy pełnił tę funkcję pierwszy raz) jest największym zagrożeniem dla Unii

DONALD TUSK ZNÓW UZNAŁ, ŻE WŁAŚNIE PREZYDENTURA DONALDA TRUMPA JEST NAJWIĘKSZYM ZAGROŻENIEM DLA UNII EUROPEJSKIEJ.

eprasa.pl ffd7aceac8

Europejskiej. Nie agresywna Rosja, coraz bardziej imperialne Chiny czy niekontrolowana imigracja obcych kulturowo przybyszów do Europy, ale właśnie republikański prezydent USA.

To przecież nie było przejęzyczenie, ale rodzaj politycznego manifestu, który obowiązuje do dziś. Tusk próbował pouczać Amerykanów, jak mają rozumieć demokrację, wolność, a nawet pisał, że po działaniach Trumpa Ronald Reagan przewraca się w grobie.

Dla europejskiej lewicy – nieważne, czy spod flagi czerwonej, czy tęczowej – Ameryka jest wcieleniem zła. Jej główna wina polega na fundamentalnym pojmowaniu wolności, przywiązaniu do podstawowych wartości: religii chrześcijańskiej, patriotyzmu i własności, ale przede wszystkim przewadze, którą posiada nad Starym Kontynentem. Ekonomiczną, militarną i polityczną.

Strach przed Trumpem

Operacja w Wenezueli uzmysłowiła liberalno-lewicowemu rządowi w Polsce, ale także lewicy w Niemczech czy Francji, że amerykański prezydent przechodzi od słów do czynów. Nie wahał się porwać prezydenta Madury, ścigać i zająć tankowiec przemycający mimo embarga wenezuelską ropę, nawet jeśli na burtach miał naklejoną banderę Rosji.

Zademonstrował technologiczną i operacyjną przewagę nad wspieraną przez ekspertów z Hawany, Pekinu i Moskwy armią Wenezueli, likwidując wyprodukowaną w Rosji obronę przeciwlotniczą i chińskie radary. Pokazał, że potrafi być naprawdę twardy.

Dekadencka, skorumpowana, leniwa, rozkapryszona, gnuśna i pozbawiona patriotyzmu europejska elita zrozumiała, że słowa o upadającej Unii Europejskiej wypowiadane przez Donalda Trumpa i wiceprezydenta J.D. Vance'a nie są tylko retoryczną konstrukcją. To realna diagnoza, bo żaden kraj europejski nie jest dziś zdolny do tak odważnych kroków. Nie tylko nie ma możliwości militarnych, ale także woli działania. Francuzi są wypychani z Afryki, niemiecka armia jest dziś słaba i pozbawiona społecznego szacunku.

> POLSKA MA JESZCZE SZANSĘ SKORZYSTANIA NA ZMIANIE ZASAD GRY. MOŻE STANĄĆ U BOKU NAJSILNIEJSZEGO MOCARSTWA ŚWIATA, STAĆ SIĘ LOKALNYM LIDEREM.

Tusk zaś może czuć się osobiście zagrożony, bo przecież nie zniknął raport amerykańskich senatorów na temat łamania przez niego demokracji, konstytucji i praworządności w Polsce. Dokument ten został wysłany do Komisji Europejskiej i oznaczał zainteresowanie amerykańskiego establishmentu sytuacją polityczną w kraju kluczowym dla bezpieczeństwa w Europie. A przecież od tamtego czasu sytuacja w naszym kraju jeszcze się pogorszyła: prześladowania opozycji nie ustały, łamanie konstytucji się wzmogło, a program politycznego rewanżu jest głównym planem rządzenia.

Jeśli Amerykanie uznają – a w zasadzie już to zrobili – że Europa Środkowa jest kluczowa dla zabezpieczenia ich interesów, zainteresowanie Polską tylko będzie rosło. Dla lidera rządzącej Polską koalicji niechybnie oznacza to kłopoty. Oczywiście nie takie, jakie ma Maduro, ale jednak poważne. Presja na Warszawę może być coraz większa, a to w dłuższej perspektywie będzie osłabiać Tuska. Szczególnie że nawet w takiej sytuacji nie jest w stanie powstrzymać się przed swoim antyamerykańskim kursem.

Zmarnowana okazja

Nie stać go było na nowe otwarcie, więc głównym partnerem do rozmów z Amerykanami pozostanie prezydent Karol Nawrocki. To oczywiście ważny dla Polski atut, ale Trump i politycy z jego administracji doskonale zdają sobie sprawę, że realnie więcej władzy ma w Polsce premier. Nawet jeśli silniejszy jest mandat głowy państwa, to jednak główne narzędzia do kreowania polityki zagranicznej ma w ręku rząd. Ten zaś wykonuje jedynie polecenia płynące z Berlina, a więc rezygnuje z podmiotowych ambicji.

Zamieszanie, a przede wszystkim zaskoczenie, które wywołały operacja w Wenezueli i przejęcie tankowca, pokazały bezradność Rosji. Kreml może protestować, ale nie jest w stanie w żaden sposób paraliżować amerykańskich działań. Władimir Putin został ośmieszony.

Polska ma jeszcze szansę skorzystania na zmianie zasad gry. Może stanąć u boku najsilniejszego mocarstwa świata, stać się lokalnym liderem i starać się, by nasza część kontynentu została na stałe uznana za kluczową dla amerykańskiego bezpieczeństwa – zgodnie z doktrynami Monroego i Trumana oraz Strategią Bezpieczeństwa Narodowego USA, która została przyjęta w grudniu ub.r.

Niestety za swój priorytet uznają to tylko prawica i obóz prezydencki.

eprasa.pl ffd7aceac8

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Tadeusz Płużański

Profesora Baumana (od lewaków) niszczenie Polski

Dziewięć lat minęło od śmierci – 9 stycznia 2017 r. w brytyjskim Leeds – profesora od lewaków, czyli Zygmunta Baumana, a jego myśli do dziś zapładniają lewackie elity eurokołchozu. I tak w jednym z ostatnich swoich wywiadów (dla nas egzotycznego brazylijskiego tygodnika „Valor") Bauman jako lewacki prorok przestrzegał: „Miejmy nadzieję, że bałagan wywołany przez całą awanturę z Brexitem w Zjednoczonym (póki co) Królestwie może stać się najlepszą trzeźwiącą miksturą dla zaczadzonych na tyle, że dających wiarę podszeptom plemiennego eurosceptycyzmu w innych krajach wspólnoty".

Dalej Bauman, lewacki autorytet, mówi o jakichś „antyunijnych buntownikach", tajemniczych „mocach uwolnionych spod politycznej kontroli" i współczesnych państwach, które „stają się niczym więcej niż nieco większymi sąsiedztwami, zamkniętymi w nieprecyzyjnie zarysowanych, nieszczelnych i nieefektywnie chronionych granicach". To tylko próbka pseudonaukowego bełkotu Baumana. Co więcej, takie niszczenie państw narodowych, w tym Polski, wcale go nie martwiło.

Tak jak profesora od lewaków nie przerażała inwazja na Europę islamistów, którą uważał za słuszną konieczność, uzasadniając to historycznie: „ «Porządek» ustanowiony po roku 1945 bezpowrotnie zapadł się w historię wraz z Murem Berlińskim. [...] Dziś żyjemy w świecie wielocentrycznym; brak w zasięgu wzroku mocy, które w pojedynkę lub koalicji byłyby zdolne lub chętne go znów «uporządkować»". Oczywiście mógłbym wskazać Baumanowi wiele takich dewastujących „mocy".

Ale nie o prawdę tu chodzi, tylko usprawiedliwianie przez Baumana różnorakiego zła. Pod koniec życia Bauman wiedział, że wychwalanie zbrodniarza Stalina nawet w jego lewackim środowisku nie jest już do końca modne. Nie przekonywał już, że ten „porządek" – dopowiedzmy – sowiecki, był wspaniały, a sam ochoczo go budował. Ale zgodnie ze swoją teorią (także praktyką) akceptował innych dewastatorów Polski.

Baumana zapewne najbardziej cieszyło coś jeszcze innego: że Polska i jej wymiar sprawiedliwości były zbyt słabe, aby postawić go przed sądem. Ale ktoś może spytać: Dlaczego właściwie ów „myśliciel" powinien zostać oskarżony, a nawet skazany? Przecież to profesor, socjolog? Lewacy do dziś nie przyjmują do wiadomości, że Zygmunt Bauman był wcześniej... ubekiem. I gdyby Polska była normalnym (nie unurzanym w komunizmie) krajem z normalnymi (nie unurzanymi w komunizmie) sądami i prokuraturą, stanąłby przed sądem za wiele swoich w komunizm uwikłań.

Za to, że pracował w sowieckiej milicji w Moskwie, która bezpośrednio podlegała NKWD. Potem za to, że był oficerem politycznym „ludowego" Wojska Polskiego, a na koniec agentem krwawej Informacji Wojskowej. Ale w pookrągłostołowej Polsce powinien odpowiedzieć przynajmniej za jedno – służbę w zbrodniczym Korpusie Bezpieczeństwa Wewnętrznego, o czym przesądza dokument z 1950 r.: „Przez 20 dni dowodził grupą, która wyróżniła się schwytaniem wielkiej ilości bandytów [członków polskiego podziemia niepodległościowego]. Odznaczony Krzyżem Walecznych".

Zygmunt Bauman, jak wiemy, przed sądem nie stanął. Także dzięki głoszonym przez siebie, a wygodnym dla innych komunistycznych zbrodniarzy i ich obrońców teoriom o płynnej nowoczesności – czyli rozmyciu jednostkowych win.

eprasa.pl ffd7aceac8

Rosjanie zaczną od działań psychologicznych



– Gdybyśmy zapytali młodych ludzi, co oznaczają niektóre sygnały alarmowe, to większość z nich nie miałaby pojęcia, jak się zachować po ich usłyszeniu. Musimy zacząć od szkolenia ludzi oraz władz lokalnych. Panuje wiara, że jak się coś wydarzy, to wszyscy będą wiedzieli, jak się zachować – mówi **Marek Kisilowski** w rozmowie z **Jakubem Pacanem**.

– Niektórzy eksperci przewidują, że Rosja może zaatakować Polskę już w 2027 roku. Czy z punktu widzenia zarządzania wojną na Ukrainie Rosja ma siły, by to uczynić?

– Jak najbardziej. Powiedziałbym więcej – jeśli nastąpi osłabienie konfliktu na Ukrainie, to Rosja będzie wręcz potrzebowała konfliktu, ponieważ gospodarka wojenna jest doskonałym rozwiązaniem dla elit władzy, a przywrócenie pokoju obnażyłoby słabość państwa. Stąd wojna musi się toczyć czy to na Ukrainie, czy gdzie indziej. Na Ukrainie zresztą mniej, ponieważ prezydentowi USA bardzo na osłabieniu konfliktu zależy, co stwarza możliwość przywrócenia stosunków gospodarczych z Rosją, na czym Rosji również zależy. Stąd duże ryzyko, że pojawi się inny front. Trudno wyrokować w sposób jednoznaczny, czy to będzie Polska, Finlandia czy Estonia. Atak na każde z tych państw można uzasadnić politycznie społeczeństwu rosyjskiemu. Zaatakowanie przesmyku suwalskiego to obrona obwodu kaliningradzkiego, atak na Estonię to obrona ludności rosyjskojęzycznej, która w tej chwili ma też w większości obywatelstwo rosyjskie. W przy-

eprasa.pl ffd7aceac8



Fot. T. Gutry

padku Finlandii chodzi o dostęp do Zatoki Fińskiej.

– Jak Rosjanie czują się mentalnie w tym zarządzaniu wojennym, długo tak jeszcze mogą?

– Tak, do dzisiaj najważniejszym elementem łączącym rosyjskie społeczeństwo jest wielka wojna ojczyźniana. Oni dobrze się czują w polityce wojennej. Dziś to już legenda budowania państwa, jego wielkości i ważności. Naprzeciw temu wychodzi wciąż duża trauma części społeczeństwa rosyjskiego po rozpadzie Związku Sowieckiego. Wojna daje też wielkie możliwości zatrudnienia. To jest bardzo istotny element prowojenny, wojna daje pracę, żołnierze idący na wojnę mają dobry żołd, za śmierć płacone są rodzinom wysokie odszkodowania. W pokojowej konfrontacji gospodarczej Rosja sobie nie bardzo radziła i radzi. W technologiach wojennych ma jednak swoje osiągnięcia. Wojna daje zatem zarobek i powoduje, że Rosjanie znowu czują, że są ważnym krajem.

– Jak mogłoby wyglądać u nas wieloaspektowe zarządzanie kryzysowe w pierwszych godzinach wojny?

– Polska, nasze społeczeństwo są nieprzygotowane do sytuacji konfliktu zbrojnego. Społeczeństwo nie jest przygotowane do tego, że wojsko zostanie zaangażowane w konflikt zbrojny. Od lat zaniedbujemy ten element, nie uczymy ludzi umiejętności orientacji w sytuacji ostrego kryzysu lub wojny. Myślę, że gdybyśmy zapytali młodych ludzi, co oznaczają niektóre sygnały alarmowe, to większość z nich nie miałaby pojęcia, jak się zachować po ich usłyszeniu. Większość ekspertów uważa, że obecnie komponent rakietowy i obrony przeciwlotniczej jest nieźle rozwinięty, podobnie komponent cybernetyczny. Inne komponenty są zaniedbane, brakuje nam wykształconej kadry. Jesteśmy słabo przygotowani do ochrony ludności przy zagrożeniach bombardowaniami, ponieważ zrezygnowaliśmy z utrzymywania miejsc schronienia i różnego rodzaju zapasów. Kontrole NIK pokazały, że w wielu miejscach, szczególnie w gminach, środki ochrony cywilnej pamiętają lata 60. Skoro władze nie przykładają do tego znaczenia, to społeczeństwo też nie jest w tym zakresie edukowane i nie rozumie wagi kierowania środków na działania związane z przygotowaniem do radzenia sobie w sytuacji kryzysowej.

MARTWIĄ GMINY, KTÓRE SIĘ WYLUDNIAJĄ, PONIEWAŻ SĄ BIEDNE. ONE POWINNY MIEĆ WSPARCIE. KATASTROFA, JEŚLI SIĘ ZACZNIE, ZACZNIE SIĘ W GMINIE.

– Im niżej w administracji terenowej, tym gorzej?

– U nas zarządzanie kryzysowe oparte jest na poziomach: gmina, powiat, urząd wojewódzki (administracja rządowa w województwie), kraj. Na poziomie urzędu wojewódzkiego może to być jeszcze sprawne, jednak na poziomie gmin i powiatów sytuacja wygląda o wiele gorzej.

– Związek Gmin Wiejskich RP krytykował projekt Ustawy o ochronie ludności i obronie cywilnej, mówiąc o możliwości braku środków na jej realizację, podobnie zareagowała Krajowa Sekcja Pożarnictwa NSZZ „Solidarność”.

– To, co powiem, może być odebrane politycznie, ale takie nie

eprasa.pl ffd7aceac8

jest, jest po prostu pragmatyczne. Stworzenie WOT spowodowało w środowiskach gminnych i powiatowych konkurencję dla OSP. Część jednostek OSP jest częścią Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego. Od ratownika OSP wymagamy dużo więcej niż od żołnierza WOT w kwestiach certyfikowanych umiejętności ratunkowych, do tego dochodzą sprawy finansowe. Strażak OSP nie dostaje regularnie pieniędzy, tak jak dostaje żołnierz WOT. Jeżeli oparliśmy system obrony cywilnej na straży pożarnej i jeśli jej nie dofinansujemy, to jak ta obrona cywilna ma wyglądać? W obecnych warunkach straż pożarna jest sprawna, ma bardzo wysoki poziom zaufania społecznego, ale czy zachowa tę sprawność w warunkach wojny? Mam wrażenie, że jest zgoda publiczna na dosprzętowienie wojska, ale w ogóle nie ma w dialogu publicznym dyskusji o wzmocnieniu obrony cywilnej, w szczególności poprzez wzmocnienie straży pożarnej.

– Co Pan sądzi o Ustawie o ochronie ludności i obronie cywilnej z ubiegłego roku?

– Ustawa wypełniła poważną lukę, która powstała po opublikowaniu Ustawy o obronie Ojczyzny i stworzyła, choć późno, podstawy dla funkcjonowania systemu w warunkach kryzysowych i wojennych. Ale systemu w praktyce ciągle nie ma i trzeba go budować od poziomu gminy do poziomu kraju.

– W książce „Zarządzanie kryzysowe w zarządzaniu publicznym" pisze Pan: „Podejście do problematyki bezpieczeństwa publicznego i ryzyka wymaga spojrzenia holistycznego i interdyscyplinarnego". U nas dalej jest sektorowość?

– Tak, bardzo protestowałem, gdy pojawiła się koncepcja, by zlikwidować Rządowe Centrum Bezpieczeństwa i przekazać wszystkie elementy do zrządzania w poszczególnych resortach. Powierzenie tego jakiemukolwiek ministerstwu spowoduje jeszcze większą silosowość. Silosowość jest niedobra, ponieważ uczy społeczeństwo, że nie ma jednolitego systemu. Ludzie nie wiedzą, do kogo się zwrócić, bo wiele podmiotów odpowiada za różnego rodzaju obszary bezpieczeństwa. Skandynawowie nie mogli np. zrozumieć, dlaczego my nie opieramy systemu monitoringu w zarządzaniu kryzysowym na informacjach od obywateli. Powiedziałem im, że przez pokolenia społeczeństwo miało świadomość, że rządzą narzucone nam obce siły i władzy się nie ufało oraz nie zwracało do niej z problemami.

KONTROLE NIK POKAZAŁY, ŻE W WIELU MIEJSCACH, SZCZEGÓLNIE W GMINACH, ŚRODKI OCHRONY CYWILNEJ PAMIĘTAJĄ LATA 60.

– Chociaż na Ukrainie to przełamano i dużo w identyfikacji rosyjskich grup dywersyjnych pomogły informacje obywateli przesyłane w mediach społecznościowych.

– Zgadza się. U nas na ten moment takich zgłoszeń ludności raczej nie ma w zarządzaniu kryzysowym. Tragiczny przykład z Uniwersytetu Warszawskiego, gdy większość ludzi widzących zbrodnię nagrywała ją telefonem, ale tylko jedna czy dwie osoby zadzwoniły pod numer ratunkowy po pomoc. To pokazuje, jak funkcjonujemy i czego możemy się spodziewać w sytuacji konfliktu zbrojnego.

KILKA LAT TEMU MINISTERSTWO OBRONY ROZMAWIAŁO Z UCZELNIAMI O TYM, ŻE BĘDZIE POTRZEBOWAŁO 50 TYS. OSÓB DO OBSŁUGI I KONSERWACJI SPRZĘTU WOJSKOWEGO. NIE MAMY TYCH LUDZI.

– Na zajętych ukraińskich terenach Rosjanie mieli grupy dywersji psychologicznej, porywali ludzi, zatruwali ujęcia wody, glebę, rośliny, dokonywał się masowy pomór zwierząt, jak zarządzać w takich warunkach?

– Musimy zacząć od szkolenia ludzi oraz władz lokalnych. Panuje

eprasa.pl ffd7aceac8

przekonanie, że jak się coś wydarzy, to wszyscy będą wiedzieli, jak się zachować. Powinna być bliższa współpraca władz lokalnych z systemem ratowniczo-gaśniczym i wojskiem, żeby ludzie się znali i był lepszy przepływ informacji. Musimy wzmocnić słabe strony, bo jeśli my je znamy, to przeciwnik też je zna i właśnie tam będzie chciał uderzyć. Martwią gminy, które się wyludniają, ponieważ są biedne. One powinny mieć wsparcie. Katastrofa, jeśli się zacznie, zacznie się w gminie. Szczególnie wyludniają się tereny na wschód od Wisły. Pytanie, czy obecna władza będzie chciała wspierać słabe gminy na ścianie wschodniej, które znane są z tego, że wyborcy mają tam konserwatywne poglądy. W zapowiedziach słychać, że będziemy dbali o bezpieczeństwo wszędzie, ale może pieniądze będą tylko dla wybranych.

– Mamy na ten moment zabezpieczone bezpieczeństwo komunikacji społecznej i bezpieczeństwo procesów decyzyjnych?

– Nie mamy, ponieważ kompletnie zniszczyliśmy zaufanie społeczne do przekazu. W zależności od naszego wyboru politycznego ufamy przekazom bądź nie. Ponadto przekazy w zakresie zarządzania kryzysowego państwa nie są spójne niezależnie od opcji politycznych. Mamy bardzo duży problem, a będziemy mieli jeszcze większy, ponieważ komunikat o jakimś zagrożeniu będzie przez pewną grupę społeczną odebrany jako manipulacja. To brak zaufania do instytucji państwa, co jest bardzo ważne, gdyż uważam, że Rosjanie jeśli zaczną z nami wojnę, to zaczną od działań psychologicznych.

– Czy w Polsce system zarządzania publicznego jest w stanie szybko dostosować się do potrzeb zarządzania wojennego?

– Nie, u nas będzie to trudne, ludzie się będą buntować, będzie to bolesne. Pandemia pokazała, że polskie społeczeństwo niechętnie podporządkowało się obostrzeniom. Teza, że jesteśmy przekorni, wydaje się tutaj zasadna. Bardzo trudno będzie nam realizować gospodarkę wojenną, ponieważ będzie nam brakowało wykwalifikowanych ludzi i sprzętu. Na pewno nie pomoże oparcie naszych dostaw wojskowych na długich łańcuchach dostaw. Kilka lat temu ministerstwo obrony rozmawiało z uczelniami o tym, że będzie potrzebowało 50 tys. osób do obsługi i konserwacji sprzętu wojskowego. Nie mamy tych ludzi. Kształcimy w sposób kompletnie nieprzemyślany. Na przykład kształcimy studentów w zakresie elektromobilności, a ich prace idą w większości na półkę, a nie namawia się młodych ludzi do kształcenia w kierunku maszyn ciężkich, w tym wozów bojowych. We wszystkich dziedzinach gospodarki zachowujemy się tak, jakby był święty spokój, i nie przygotowujemy się do wojny.

OPARLIŚMY SYSTEM OBRONY CYWILNEJ NA STRAŻY POŻARNEJ, WIĘC JEŚLI JEJ NIE DOFINANSUJEMY, TO JAK TA OBRONA CYWILNA MA WYGLĄDAĆ?

– Jak skutecznie zwalczać dezinformację w mediach społecznościowych, skoro to globalne korporacje i anonimowi uczestnicy?

– Gdybym miał na to rozwiązanie, to byłbym bardzo bogaty. Pytanie brzmi, czy państwo polskie nie powinno mieć kanału, który byłby wiarygodny dla wszystkich Polaków niezależnie od podziałów politycznych.

– Na Ukrainie to się udało. Po wybuchu wojny konkurujące ze sobą stacje telewizyjne podawały te same komunikaty.

– O to właśnie chodzi. Politycy powinni przestać się obrażać na to, że społeczeństwo jest podzielone i w kwestiach bezpieczeństwa muszą zacząć mówić jednym głosem.

– A jak ocenia Pan jakość komunikacji strategicznej, zdolności państwa do reagowania na manipulację informacją?

– Moim zdaniem nie wyciągnięto żadnych konstruktywnych wniosków po doświadczeniach związanych z dezinformacją wokół pandemii koronawirusa. Sprawy bezpieczeństwa są narzędziami walki politycznej, to jest bardzo niedobre, niebezpieczne i bezwzględnie trzeba to zmienić.

Doc. dr hab. inż. Marek Kisilowski – doktor habilitowany nauk o zarządzaniu, specjalność zarządzanie publiczne, docent na Politechnice Warszawskiej. Autor i współautor monografii naukowych, podręczników i artykułów naukowych oraz projektów badawczych z zakresu zarządzania publicznego, nauki administracji i zarządzania bezpieczeństwem. Zastępca przewodniczącego Krajowej Sekcji Nauki NSZZ „Solidarność”.

eprasa.pl ffd7aceac8

Wysoki udział OZE redukuje wzrost PKB w UE

Od 2010 r. obserwuje się, że PKB UE pozostaje w tyle w stosunku do USA, chociaż w poprzednim okresie PKB UE zasadniczo nie odbiegało od wartości obserwowanych w Stanach Zjednoczonych. Mimo że populacja UE wynosi ok. 500 mln i jest wyższa od liczby ludności w USA o ok. 200 mln, to PKB UE relatywnie do USA **systematycznie się zmniejsza**. Przyczyną takiej sytuacji jest tworzenie uniformu energetycznego w UE opartego na takich drogich i niestabilnych źródłach energii jak panele fotowoltaiczne (PV) i farmy wiatrowe (FW).

Zbigniew Krysiak

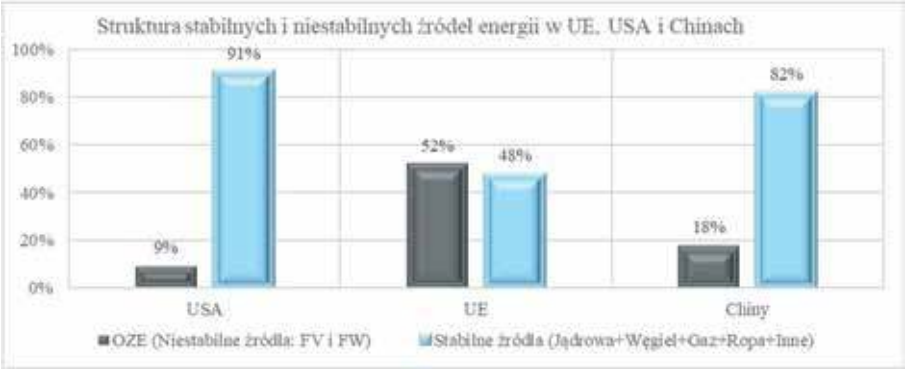
W UE celem strategii transformacji energetycznej jest maksymalna redukcja emisji CO_2 z pominięciem odpowiedniej oceny ekonomicznej i wpływu na rozwój gospodarczy. Instytucje w UE z góry założyły, bez mocnych podstaw ekonomicznych i bez analizy koszt-efekt, że dominacja PV i FW będzie taki cel realizować. Żeby wdrożyć taką strategię, narzucono obligatoryjny system podatku za emisję CO_2, tzw. EU ETS, który penalizuje wszystkie technologie produkcji energii poza PV i FW. Tak więc ETS stał się narzędziem do budowania uniformu źródeł energii na rzecz PV i FW, co okazuje się bardzo nieekonomiczne i przekształca się w coraz niższy potencjał gospodarczy UE na tle USA i Chin. Takie podejście skutkuje kształtowaniem miksu energetycznego w UE w taki sposób, że redukuje się ilość stabilnych źródeł energii pozyskiwanej z węgla, gazu i atomu na rzecz PV i FW, które są niestabilne i bardzo kosztowne.

Na **rysunku 1**. przedstawiono strukturę źródeł energii w USA, UE i Chinach w podziale na stabilne i niestabilne. USA i Chiny posiadają od 82% do 91% stabilnych źródeł energii, UE zaś tylko 48%. UE zamierza nadal zwiększać udział PV i FW do poziomu ok. 90%, co byłoby kierunkiem zupełnie przeciwnym do tego, co obserwujemy w USA i Chinach. Udział niestabilnych źródeł energii powyżej 40% prowadzi do niewydolności systemu gospodarczego. Stabilne źródła warunkują płynność dostaw energii, niestabilne zaś tworzą wysokie ryzyko przerw w dostawach energii. Nadmiar PV i FW, czyli udział tych źródeł w produkcji energii powyżej 40%, przyczynia się do bardzo niskiej energetycznej stopy zwrotu EROEI (ang. Energy Return on Energy Investment) i tworzy wysokie ryzyko niewydolności gospodarczej. Takie ryzyko nie występuje w USA i Chinach. W USA i Chinach w strukturze źródeł energii silnie przeważają stabilne źródła, a w UE jest ich znacznie mniej. Duży udział stabilnych źródeł jest fundamentem wyższej efektywności gospodarczej. Wysoki udział niestabilnych źródeł w UE jest wynikiem presji, jaką wywiera przyjęty model ETS preferujący PV i FW. W USA i Chinach nie preferuje się PV i FW, lecz wdrażanie jakichkolwiek technologii do produkcji energii jest funkcją celu, jakimi są ekonomika i minimalizacja ceny energii dla obywateli. Obraz na **rysunku 1**. wyraźnie ilustruje, że przyjęta strategia energetyczna silnie wpływa na strukturę stabilnych i niestabilnych źródeł energii.

Negatywne efekty nieodpowiedniej strategii transformacji energetycznej w UE, w której ETS stał się narzędziem do jej realizacji, można zilustrować na **rysunku 2.**, który przedstawia nominalne wartości PKB Chin, UE i USA w latach 2004–2024. Od 2010 r. obserwuje się znacznie mniejszy wzrost PKB UE w stosunku do Stanów Zjednoczonych. W 2010 r. PKB UE był na podobnym poziomie jak w USA i wynosił ok. 15 bilionów USD, w 2024 r. PKB UE ukształtował się zaś na poziomie ok. 65% PKB USA. PKB UE na koniec 2024 r. wyniosło ok. 20 bilionów USD, w USA

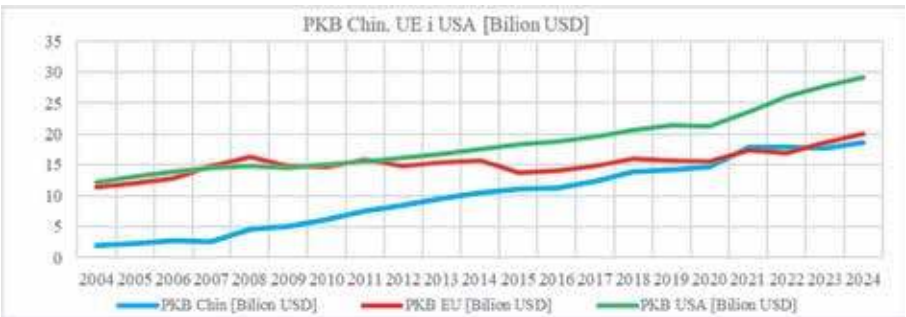
eprasa.pl ffd7aceac8

Rysunek 1. Struktura stabilnych i niestabilnych źródeł energii w USA, UE i Chinach



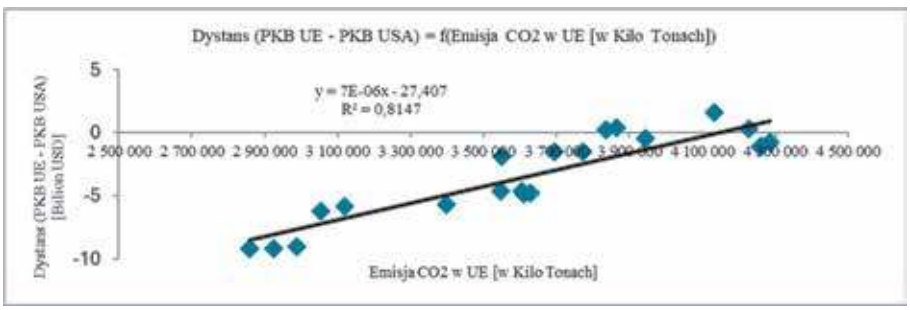
Źródło: Eurostat [https://ec.europa.eu/eurostat/web/interactive-publications/energy-2024#energy-sources]

Rysunek 2. Nominalna wartość PKB Chin, UE i USA w latach 2004–2024



Źródło: Opracowanie własne na podstawie: Macrotrends [https://www.macrotrends.net/global-metrics/countries/usa/united-states/gdp-gross-domestic-product]

Rysunek 3. Zależność pomiędzy różnicą PKB UE i PKB USA a emisją CO_2 w UE



Źródło: Opracowanie własne na podstawie danych [https://www.macrotrends.net/global-metrics/countries/euu/european-union/ghg-greenhouse-gas-emissions]

zaś osiągnął poziom blisko 30 bilionów USD. Należy dodać, że PKB Chin w 2010 r. wynosił ok. 7,5 biliona USD, co stanowiło 50% PKB UE, w 2024 r. zrównał się zaś z PKB UE. PKB UE w ostatniej dekadzie charakteryzuje się bardzo niskim tempem wzrostu, podczas gdy zarówno PKB USA, jak i Chin rosną w równie szybkim tempie. Należy szczególnie zauważyć, że relatywne wobec USA zmniejszanie PKB UE następuje po 2008 r., od kiedy to wprowadzono na pełną skalę ETS, od 2014 r. obserwuje się zaś powiększanie dystansu UE do USA.

Przyczyną jeszcze głębszego pogarszania się potencjału ekonomicznego UE po 2014 r. było podjęcie przez Radę Europejską w marcu 2014 r. decyzji o reformie strukturalnej systemu handlu uprawnieniami do emisji CO_2. Zmiany te polegały na zastąpieniu dotychczasowego rynkowego handlu uprawnieniami centralnie zarządzanym mechanizmem rezerwy stabilności rynkowej. Tak więc po 2014 r., w wyniku pominięcia specyfiki klimatyczno-energetycznej poszczególnych państw na rzecz tzw. ręcznego sterowania i centralnego oraz biurokratycznego zarządzania mechanizmem ETS doszło do stagnacji wartości PKB i coraz większego pozostawania w tyle w stosunku do USA, co zilustrowano na **rysunku 2**. Uniform mechanizmu ETS w całej UE przeniósł się negatywnie na wszystkie państwa, w tym także Polskę.

Warto podkreślić, że redukcja emisji CO_2 w okresie od 2004 do 2024 r. w UE była na takim samym poziomie jak w USA, jednak Stany Zjednoczone dużo bardziej powiększyły swoje PKB niż UE. Na **rysunku 3**. umieszczono zależność pomiędzy różnicą PKB UE i PKB USA, a poziomem emisji CO_2 w UE dokonaną na podstawie danych z okresu 2004–2024. Zależność ta pokazuje, że im mniej CO_2 emituje się w UE, tym

eprasa.pl ffd7aceac8

bardziej oddala się PKB UE od PKB USA. Należy podkreślić, że w tym samym okresie 2004–2024 USA zmniejszyły emisję CO_2 o 1,28 Gt, a UE o 1,17 Gt, czyli redukcja CO_2 w obu przypadkach była porównywalna. Na tę zależność należy spojrzeć z perspektywy efektywności działania modelu energetycznego, czyli rachunku koszt-efekt lub koszty-korzyści. W modelu UE wyraźnie koszty przewyższają korzyści, w modelu USA zaś korzyści przewyższają koszty. Z tego wynika, że model UE jest nieskuteczny i wymaga zmiany, co również implikuje konieczność usunięcia podatku za emisję CO_2.

W konkluzji końcowej należy stwierdzić, że polityka energetyczna UE wymaga natychmiastowego zrewidowania poprzez: usunięcie podatku za emisję CO_2, promocję energetyki jądrowej, zapewnienie swobody konkurowania w zakresie rozwoju technologii produkcji energii po jak najniższych kosztach oraz zachowywanie suwerenności i swobody kształtowania polityki energetycznej przez wszystkich członków UE. Traktaty UE dają swobodę każdemu narodowi kształtowania polityki energetycznej, dlatego nie wolno akceptować działań zmierzających do centralizacji decyzji i przekształcania UE w superpaństwo.

Artykuł pochodzi z „Magazynu Optyka Schumana”.

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO



Zdzisław Krasnodębski

Koniec taryfy ulgowej. Parę uwag na nowy rok

Przy każdej kolejnej rocznicy naszych narodowych zrywów – a mamy je liczne – wspominamy chwalebne czyny naszych przodków w walce o odzyskanie niepodległości lub jej obronę. Ale sukces zależał zawsze także od sił zewnętrznych, od kontekstu międzynarodowego – i od naszych umiejętności wyciągnięcia wniosków z sytuacji międzynarodowej i odpowiednich działań.

Niepodległość w 1918 roku odzyskaliśmy dzięki właściwemu wykorzystaniu szansy, jaką była klęska wszystkich trzech zaborców. Powstanie Wielkopolskie było zwycięskie, ponieważ Niemcy były osłabione wojną i pogrążone w chaosie. Gdyby pod koniec XVIII wieku był lepszy układ sił i gdybyśmy mieli nieco większe szczęście, zapewne Polska przetrwałaby jako państwo. Nie byłoby wtedy ponad stuletniej przerwy w istnieniu państwowości. Gdy kontekst międzynarodowy był bardzo niesprzyjający, nasze wysiłki skazane były na niepowodzenie. W 1939 i w 1944 r. losów Polski nie mogło odwrócić największe nawet bohaterstwo i – od pewnego przynajmniej czasu – najzręczniejsza dyplomacja.

W 1989 r. nie tylko ruch Solidarności, lecz i sytuacja międzynarodowa przyniosły nam wolność. W następnych dziesięcioleciach los nam sprzyjał. W latach dziewięćdziesiątych Rosja zajmowała się sobą, usiłując utrzymać resztki imperium na pomniejszonym obszarze, nie miała sił na ekspansję na Zachód. Niemcy się jednoczyły i były skoncentrowane na zagospodarowaniu terenów byłej NRD; ciągle też jeszcze nie było na „Zachodzie” przyzwolenia na ich zbyt asertywną politykę. Podstawowe interesy Polski i Niemiec wydawały się zgodne. Niemcy miały pomagać nam w transformacji i być naszym adwokatem w „Europie”. Kształtująca się wtedy nowa „Mitteleuropa” z niemiecką dominacją gospodarczą wydawała się korzystna dla Polski mającej jeszcze w pamięci rosyjski komunizm. Ci, którzy dopiero dowiedzieli się o koncepcjach Friedricha Naumanna

eprasa.pl ffd7aceac8

i Maxa Webera z 1915 r., zapominają, że wtedy miała być ona budowana przeciw „Zachodowi". Teraz zaś miała być częścią UE i w ogóle Zachodu. Niemcy miały być pomostem dla Polski i innych krajów regionu do cywilizacji zachodniej. Również Amerykanie opowiadali się za integracją europejską i wcale im nie przeszkadzało, że Niemcy – uznawane za przykład największego sukcesu, jaki kiedykolwiek Amerykanie osiągnęli w demokratyzowaniu i reedukacji innych narodów – miały odgrywać w niej kluczową rolę. Tym bardziej że Unia Europejska miała wiązać Niemców ponadnarodowymi regułami i na zawsze odesłać do lamusa historii niemiecki nacjonalizm i ambicje imperialne. Integracja europejska miała w ogóle gwarantować, że nie będzie już fundamentalnych sprzeczności między państwami europejskimi.

Członkostwo w NATO wzmacniało tak bardzo nasze bezpieczeństwo, że ponowna agresja rosyjska wydawała się mało prawdopodobna. Trzeciego dawnego zaborcę – Austrię mieliśmy z głowy od 1918 r. Jej ambicje odegrania czołowej roli w budowaniu nowej Europy Środkowej okazały się literacką mrzonką.

Mimo wielu błędów i kryzysów okresu transformacji Polska ogromnie urosła przez ostatnie trzydzieści lat. Nasi okcydentaliści mają rację, że stało się to nie tylko dzięki zaradności i pracowitości Polaków, ale także dzięki zakorzenieniu się Polski w organizacjach zachodnich.

Przez prawie cały okres III RP otoczenie międzynarodowe Polski wydawało się bezpieczne, wręcz cieplarniane, co wyraził w swoim przemówieniu inauguracyjnym prezydent Bronisław Komorowski, stwierdzając, że „nikt na nas nie czyha", a potem celebrując czekoladowego orła, doskonały symbol owej słodkiej epoki. Powiedział to po tym, gdy w Rosji zginął polski prezydent i inni przedstawiciele ścisłej polskiej elity, w tym generałowie WP, a „Zachód" pozostał niemy i głuchy, wspierając Donalda Tuska w jego idiotycznym „resecie". A to był sygnał ostrzegawczy (drugi po napadzie Rosji na Gruzję), że nadchodzą nowe, groźne czasy.

Obecnie już nie ujdzie uwagi nawet najmniej bystrych, że korzystny dla Polski międzynarodowy układ sił się skończył. Łatwo już było, teraz będzie tylko trudniej. To już nie „Zeitenwende", inne czasy, lecz „Epochenbruch", epokowy kryzys, dziejowe zerwanie ciągłości, jak ostatnio dramatycznie stwierdził niemiecki kanclerz. Mogliśmy lepiej przygotować się na ten trudny czas. Na przykład zacząć budować silną, zdolną do obrony kraju armię nie w 2015, nie w 2022, lecz 2010 r.

Teraz nasza polityka oparła się na słusznym założeniu, że Rosja stanowi dla nas ogromne zagrożenie. Tylko że działania na podstawie tego słusznego założenia już takie słuszne nie są – również po 24 lutego 2022 r. Wspomagaliśmy Ukrainę, nie stawiając żadnych warunków. Jednocześnie było oczywiste, że nie chcemy zaangażować się w tę wojnę – tak jak cały „Zachód". Jaka była więc nasza perspektywa zakończenia tej wojny, jaki mieliśmy plan na przyszłość? Pokonanie Rosji przez Ukrainę było niemożliwe. Być może gdyby wsparcie Zachodu było wystarczające w odpowiednim czasie, gdyby Ukrainie wcześniej pozwolono atakować Rosję na jej terytoriom, była jakaś szansa na zepchnięcie jej dalej na wschód. Ukraina i tak pokazała siłę, obroniła swoją państwowość, ale zapewne poniesie straty terytorialne i na długo pozostanie protektoratem USA i UE.

W fazie, w której decyduje się układ w naszym najbliższym otoczeniu, Polska pozostaje pasywna, czekając, co o jej najbliższym otoczeniu i tym samym o niej zadecydują inni. Ostrzeganie przed rosyjskim imperializmem, do którego się sprowadzają nasze dyplomatyczne inicjatywy, nie zastąpi myślenia, koncepcji, strategii, czekanie na wynik negocjacji nie zastąpi własnej aktywności. Ci Polacy, którym ciągle jeszcze zależy na suwerennej Polsce, pokładają całą nadzieję w Donaldzie Trumpie – z takim niemal żarem, jak kiedyś w Napoleonie. Ale już wiemy, że nie będzie się on ścierał z Rosją. Przekonanie, że to raczej Niemcy lub Francuzi zaczną się pierwsi dogadywać z Putinem, okazało się fałszywe. Jakbyśmy nie oceniali działań prezydenta Trumpa, na razie nie spełniają naszych nadziei i budzą zaniepokojenie o bezpieczeństwo Polski. Ciągle marzymy, że USA uczynią nas głównym partnerem w Europie, że stworzą blok państw bliskich sobie – nowe Międzymorze lub amerykańską Europę Środkową. Dałby Bóg, ale co najmniej równie prawdopodobny jest definitywny koniec Pax Americana w Europie. Rzucona Europejczykom rada „radzicie sobie sami", będzie wtedy także nas dotyczyć.

Jakbyśmy nie oceniali działań prezydenta Trumpa, na razie **nie spełniają naszych nadziei** i budzą zaniepokojenie o bezpieczeństwo Polski.

Agresja rosyjska pokazała granice władzy UE, co widać w gwałtownym słabnięciu pozycji Ursuli von der Leyen. W sytuacji, gdy najważniejsze są sprawy bezpieczeństwa i potencjał militarny, nastąpiło przesunięcie się władzy z unijnej centrali do państw. Von der Leyen nie tylko nie ma

eprasa.pl ffd7aceac8

żadnych dywizji, lecz także autorytetu, jaki mają papieże. Za jej fanatyczną politykę klimatyczną i energetyczną płacimy wszyscy. Swój głód władzy mogła zaspakajać głównie kosztem państw uzależnionych od unijnych funduszy i dających się terroryzować przez unijny system prawny.

Władza UE słabnie, ale nie w Polsce. Po 2015 r. Unia, która powoli oplatała Polskę siecią nakazów i mechanizmów gospodarczych i prawnych, nie kryła już swoich pretensji do kontroli politycznej naszego kraju. Władza unijna nad Polską jest możliwa z powodu postkolonialnej mentalności naszych elit i posttraumatycznych lęków polskiego społeczeństwa. W oczach części Polaków, podobno tych wykształconych, KE to nadrząd, a TSEU Sąd Najwyższy i jednocześnie Trybunał Konstytucyjny UE.

Trzy najsilniejsze państwa Europy: Niemcy, Francja i Wielka Brytania, które nie dają sobie w kaszę dmuchać, mają ogromne problemy wewnętrzne i niestabilne rządy.

Najistotniejsza dla nas jest sytuacja w Niemczech. Ostatnie lata to bankructwo ich polityki. Związanie Niemiec unijnymi więzami się nie powiodło. UE stała się instrumentem ich wpływów politycznych. Jak wykorzystały swoje przywództwo? Swoją polityką migracyjną i klimatyczną, forsowaną w całej UE, doprowadziły nie tylko do osłabienia gospodarczego Europy, ale także własnego państwa. W swoim zaślepieniu uzależniły się od Rosji i China. Dzisiaj grozi im wieloletnia stagnacja gospodarcza.

Poniosły także porażkę w Polsce. Przecież tyle zainwestowały w organizacje pozarządowe, w ludzi, w media, a Polska wymknęła się im spod kontroli – na chwilę już w latach 2005–2007, a potem na dobre w latach 2015–2023. Nawet ich marionetka na stanowisku premiera RP zaczęła teraz wierzgać, szarpać sznurkami.

W nowej epoce pada dawne tabu powojennych Niemiec i rysuje się możliwość ponownej potęgi militarnej Niemiec. To dziś ich najważniejszy i otwarcie deklarowany cel – najsilniejsza armia w Europie. Kanclerstwo Friedricha Merza może otworzyć epokę neonacjonalistycznych Niemiec. Kolejny rząd będzie zapewne koalicją CDU/CSU i AfD. Pamiętajmy, że w Niemczech tli się dawny nacjonalizm i rewizjonizm, który stanie się „salonfähig" i może zwrócić się przeciw Polsce i szukać porozumienia z Rosją. Generalnie prawica europejska, która może za parę lat zdominować politykę europejską, znowu wraca do postaw prorosyjskich, do czego przyczynia się bezceremonialna polityka amerykańska. Trzeba przy tym podkreślić, że na razie to rząd Merza reprezentował w sprawie Ukrainy stanowisko podobne do polskiego. Niemcy leżą zbyt blisko Rosji, by – po lekcji, którą ostatnio dostali – lekceważyć agresywność imperializmu rosyjskiego. Nie chcieliby znowu mieć Rosjan ani w Berlinie czy Lipsku, ani nad Odrą. Mimo wszystkich różnic łączy nas teraz znowu wspólnota interesów w tej kwestii.

W Niemczech tli się dawny nacjonalizm i rewizjonizm, który stanie się „salonfähig". Może **zwrócić się przeciw Polsce** i szukać porozumienia z Rosją.

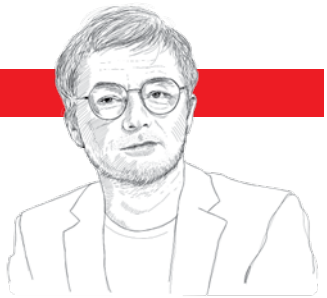
Polska polityka od 2023 r. jest sparaliżowana. Pogardliwe traktowania Tuska pokazuje, że Polska przestała się liczyć. Jego potencjalny następca, obecny minister spraw zagranicznych, nigdy nie był uważany za postać poważną. Niestety nadal trwa konflikt wewnętrzny w PiS, który kiedyś nie pozwalał na jednolitą strategię działania. Nie było decyzji, czy się dogadujemy z UE, z Berlinem i Paryżem, i Brukselą, co musiałoby oznaczać dymisję ówczesnego ministra sprawiedliwości, czy też idziemy ostro, stawiając na jedną kartę, co musiałoby się wydarzać odpowiednio wcześnie – na początku drugiej kadencji. Zamiast tego mieliśmy wybuchową mieszankę – pseudoweta i buńczuczną retorykę oraz faktyczną ustępliwość, co otwierało pole dla sił politycznych na prawo od PiS.

Efektem tej polityki nie jest wzmocnienie, lecz osłabienie suwerenności. Zupełnie absurdalne były negocjacje z KE w ostatnim roku przed wyborami. Opierały się na założeniu, że KE jest „uczciwym maklerem" i strażnikiem traktatów. Tymczasem KE dążyła do zmiany układu politycznego w Polsce. Była politycznym przeciwnikiem.

Znając nastroje Polaków, można przyjąć, że twardsza polityka doprowadziłaby do wyraźniejszej przegranej PiS w 2023 r. Lecz dzisiaj PiS nie miałoby problemu z silną opozycją z prawej strony, którą PiS samo wykreowało swoją retoryką i niekonsekwencją. Jeszcze ogólniejszym i głębszym problemem jest tchórzostwo elit i polskiego społeczeństwa, które w pełni ujawniło się w momencie zamachu smoleńskiego. Tamten test nastraja pesymistycznie co do odporności mentalnej i organizacyjnej Polaków. W nowym, niesprzyjającym kontekście międzynarodowym potrzebne są zdecydowane, odważne elity polityczne ze spójną, energicznie wcielaną w życie strategią polityczną i odporne, mężne, ofiarne społeczeństwo. Ale to na razie tylko pobożne życzenia.

eprasa.pl ffd7aceac8

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA



Jan Wróbel

Bój to jest... Nasz? Ich?

Pewien socjalista, aresztowany w Warszawie w 1879 roku, wspominał potem: „Doznałem uczucia prawdziwej ulgi, kiedy przekonałem się, że właśnie ku Cytadeli podążamy. X Pawilon, z którym łączą się tak straszne wspomnienia z czasów powstania, w tym okresie nie budził już wcale grozy [...] Nie mogła zbytnio przerażać perspektywa siedzenia w więzieniu, którego przymusowi mieszkańcy mają tyle swobody, że wydają pismo socjalistyczne".

Można się po cichu domyślać, że autor tych słów (Zygmunt Heryng) zaliczał się do grupy nierozpoznanych w tamtym stuleciu osób z lekkim spektrum autyzmu. Bądź co bądź, tak znowu miło w Cytadeli ówczesnej nie było. Jednak jest prawdą, że przez kilka miesięcy osadzeni „czerwoni" wydawali ręcznie przepisywaną gazetkę „Głos Więźnia". Niewiele w niej było informacji (no, nic dziwnego), sporo za to wierszy. Chociaż autorem wielu z nich był późniejszy autor porywającej „Warszawianki", poziom poezji wysoki nie był. Ale i tak krzepiła. Wśród nich jest wierszyk, który poruszy każdego, kto kiedykolwiek zaznał więzienia:

„Ileż dozna przyjemności,/ Gdy wśród strasznej samotności/ Człek to pismo przeczytuje./ Wnet się rzeźwiej, silniej czuje./ Czuje się on wnet wesoło./Słyszy bowiem gwar wokoło./ Przyjacielskie ściska ręce,/ Zapomina o swej męce".

„Głos Więźnia" wpadł, jak to zwykle bywa, przez przypadek. Reakcja władzy była zresztą łagodna. Może dziwić, skoro wychowani jesteśmy na stereotypie bezwzględnego imperium carskiego, że przechodziło ono różne okresy liberalizacji bądź – jak mawiano w wojsku za moich czasów – „humanizacji".

To wszystko anegdotka. Kryje się jednak za nią pytanie, czy owi osadzeni są „nasi" czy „nie nasi". Zaangażowani po stronie sprawiedliwości, zwykle bohaterscy, czasem lekko stuknięci – ale to samo dałoby się powiedzieć o niejednym opozycjoniście w PRL-u. Wielu, jak Ludwik Waryński, Maria Bohuszewiczówna (wnuczka siostry Tadeusza Kościuszki), Maria Hildt, Filipina Płaskowicka, zmarli młodo w więzieniu albo na zesłaniu. Ewa Bresler, młoda szwaczka, popełniła w więzieniu samobójstwo. Liberalizm był w carskiej Rosji pojęciem jednak względnym.

> ZA CHWILĘ BĘDZIEMY MIELI ROCZNICĘ WYKONANIA WYROKU ŚMIERCI NA 4 DZIAŁACZACH „PROLETARIATU".

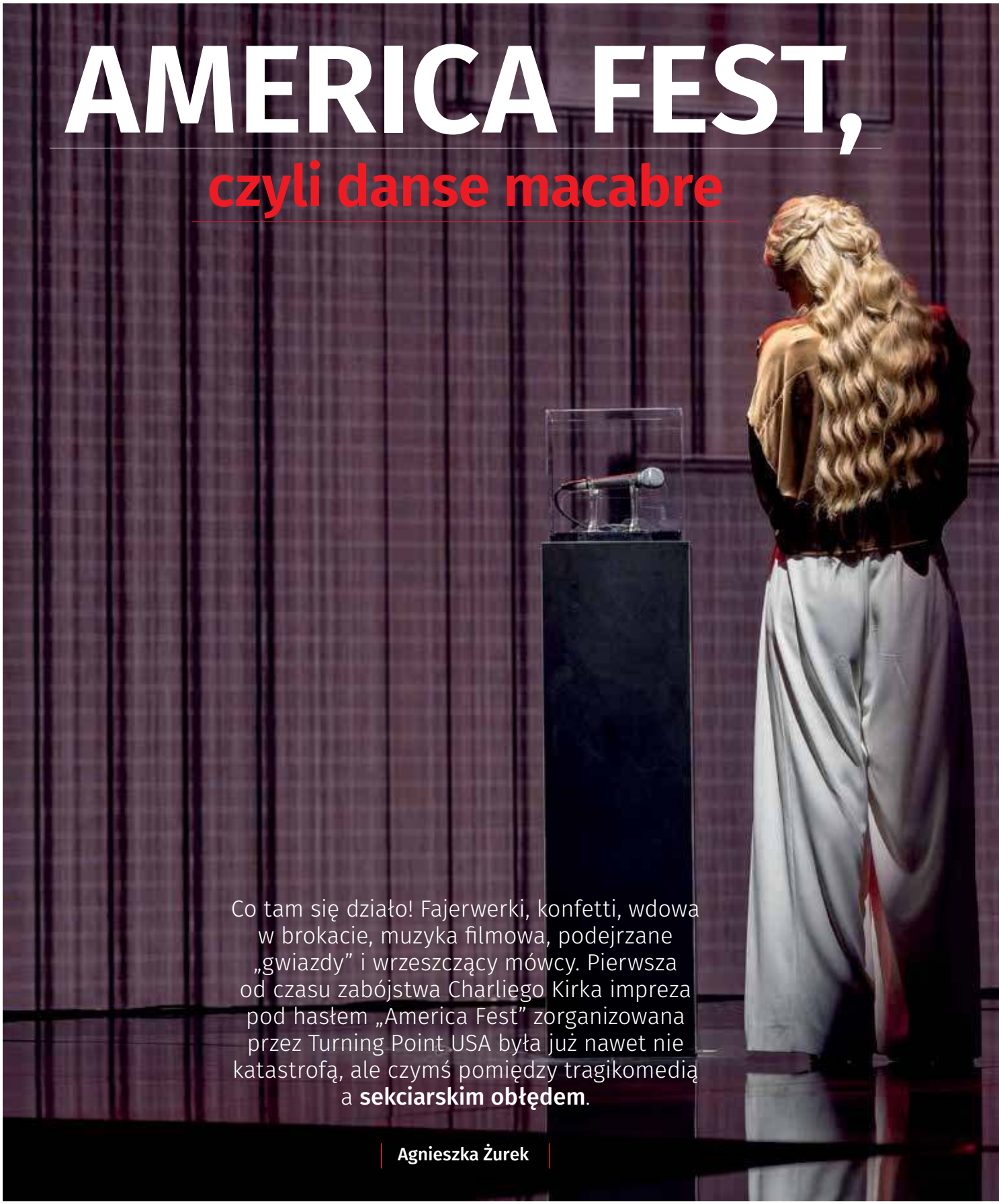
Faktem pozostaje, że z zasady nasi (?) pierwsi socjaliści odżegnywali się od hasła niepodległości Polski jak diabeł od święconej wody. Uważali idee narodowe za detal odciągający od sprawy głównej – rewolucji. Waryński boczył się o to nawet na samego Karola Marksa, który właśnie w pełni popierał walki Polaków o niepodległość.

Za chwilę będziemy mieli rocznicę wykonania wyroku śmierci na 4 działaczach „Proletariatu". Były to pierwsze wyroki na Polakach od czasów represji po powstaniu styczniowym. No, to jak – nasi czy nie nasi?

eprasa.pl ffd7aceac8

AMERICA FEST,

czyli danse macabre



Co tam się działo! Fajerwerki, konfetti, wdowa w brokacie, muzyka filmowa, podejrzane „gwiazdy” i wrzeszczący mówcy. Pierwsza od czasu zabójstwa Charliego Kirka impreza pod hasłem „America Fest” zorganizowana przez Turning Point USA była już nawet nie katastrofą, ale czymś pomiędzy tragikomedią a **sekciarskim obłędem**.

Agnieszka Żurek

eprasa.pl ffd7aceac8



Erika Kirk obok mikrofonu, którego używał Charlie Kirk na Utah Valley University w dniu, w którym został zabity. „America Fest", pierwszy szczyt Turning Point USA od czasu zamachu na Charliego Kirka; Phoenix, Arizona, USA, 21 grudnia 2025 r.

Fot. Cheney Orr / Reuters / Forum

Zaczęło się z grubej rury, czyli od wejścia na scenę wdowy po Charliem, Eriki Kirk wyglądającej jak inkarnacja Elvisa Presleya. Złoty, brokatowy garnitur „dawał po oczach" tak mocno, że – jak komentowali to później złośliwi – mógł wywołać atak padaczki.

„Płakałam już wcześniej"

Ona sama tym razem darowała sobie próby wycierania chusteczką suchego oka podczas mówienia o Charliem. – Płakałam już wcześniej – stwierdziła krótko i płynnie przeszła do pełnienia roli, w której wydaje się czuć najlepiej – działaczki politycznej, nie żadnej tam „trad wife".

Atak mogła wywołać także absurdalna przemowa Eriki, którą rozpoczęła od słów o tym, że oto historia zatoczyła koło, ponieważ już kiedyś musiała przejąć od męża pałeczkę w prowadzeniu wydarzenia organizowanego przez TP USA, kiedy to Charlie niespodziewanie został zaproszony przez Donalda Trumpa na pokład Air Force One. Podkreśliła, że mąż był wówczas pewien, że Erika doskonale go zastąpi i że faktycznie tak się stało. – Zawsze w takich sytuacjach mówił mi, że na pewno coś wymyślę i że sobie poradzę. I że dlatego właśnie mnie poślubił – powiedziała wdowa-Elvis.

Po tym wstępie przeszła do przytaczania statystyk dotyczących imprezy „America Fest" – ilu jest na scenie studentów, z ilu krajów, ile kobiet, a ilu mężczyzn etc. Zaznaczyła, jak wiele osób zapisało się do organizacji TP USA już po śmierci Charliego. Wymienieniu każdej z danych towarzyszyły okrzyki radości z sali. Erika następnie obśmiała kilka „teorii spiskowych" dotyczących śmierci jej męża, a odnosząc się do głosów krytyki, jakie pojawiły się po jej dziwacznym publicznym uścisku z wiceprezydentem J.D. Vance'em, stwierdziła, że osoby, którym nie podobał się ten gest, widocznie same potrzebują przytulenia i że ona może im to zaoferować. – Dotknę nawet tyłu twojej głowy – zwróciła się do Jay Reid, jednej z amerykańskich komentatorek.

Mówiąc o dziedzictwie Charliego Kirka, w pierwszej kolejności podkreśliła, że był on działaczem na rzecz pokoju i budowania mostów. Stwierdziła, że po jego śmierci pojawiło się zbyt dużo podziałów, co nie jest dobrą sprawą. Dodała, że Charlie szedł zawsze tam, gdzie był potrzebny, i ona postępuje dokładnie tak samo. – Przekonacie się – powtórzyła ze sceny kilkakrotnie. Dodała, że od razu po zabójstwie Charliego zabrała się za kontynuowanie jego dzieła, czyli promocję jego najnowszej książki „Stop. W imię Boże" poświęconej świętowaniu szabatu przez chrześcijan. – Nie udałam się w tournée po mediach dla siebie, ale po to, żeby uhonorować mojego męża – zaznaczyła. – I nie tylko ja będę to robić w imieniu Charliego, ale także i wy. Jesteście tu po to, aby zobaczyć, że nie jesteście sami w tej walce – dodała. Nie sprecyzowała, czego właściwie dotyczy ta walka i jak w sumie rozumie kontynuowanie misji Charliego. Bo że nie jako wychowywanie dwojga jego małych dzieci, które właśnie straciły ojca, to już wiemy. W zasadzie jedynymi określonymi przez Erikę konkretami stały się: zapewnienie prezydentowi Trumpowi poparcia amerykańskiego Kongresu przez kolejne lata oraz wywalczenie prezydentury J.D. Vance'owi w 2028 roku. – Nie pozwólcie, aby ktokolwiek ośmielił się mówić wam, że jesteście za młodzi, niewystarczająco mądrzy czy ustosunkowani, żeby działać. Tak długo, jak będziecie częścią TP USA, wyposażymy was we wszystko, co jest potrzebne, abyście mogli skutecznie pracować – podkreśliła.

Zamknij się, w imię wolności słowa!

Zaraz po Erice Kirk głos zabrał Ben Shapiro, założyciel portalu The Daily Wire oraz wyznawca ortodoksyjnego judaizmu. Swoje przemówienie poświęcił nie tyle Charliemu Kirkowi, co... Candace Owens. Nawoływał do jej „skanselowania", niezapraszania nigdzie, niesłuchania i do doprowadzenia do bankructwa. Ben Shapiro jeszcze przed śmiercią Kirka wyrzucił Owens z portalu Daily Wire za jej krytykę działań Izraela w Strefie Gazy. Obecnie uznał ją za wyznawczynię teorii

eprasa.pl ffd7aceac8

spiskowych w kontekście zabójstwa Charliego i uznał, że tego rodzaju głosy, jak jej, nie powinny znajdować miejsca w przestrzeni publicznej. Przemówienie Shapiro było o tyle kuriozalne, że miało ono w teorii chronić dziedzictwo Kirka, którego przecież naczelną dewizą było to, że nikomu nie wolno zamykać ust, choćbyśmy zupełnie nie zgadzali się z jego poglądami. Charlie podkreślał, że wolność słowa jest jedną z podstawowych, chronionych konstytucyjnie amerykańskich wartości. O tej postawie Kirka przypomniał z kolei Tucker Carlson, który także był jednym z mówców na konwencji TP USA i który wszedł z Benem Shapiro w ostrą polemikę.

Zgadzam się jednak z amerykańskim performerem Timem Dillonem, który stwierdził, że za tragifarsę AmFestu odpowiadają wszyscy jego uczestnicy. W tego typu wydarzeniu w mojej opinii nie ma sensu brać udziału i tym samym go uwiarygadniać. Szczytem – a raczej dnem – ponurej groteski niedawnej konwencji TP USA stała się... replika namiotu, pod którym został zamordowany Charlie Kirk i na tle której uczestnicy imprezy robili sobie „selfies". Nie jest do końca jasne, czy nie był to nawet ten sam namiot, który był świadkiem tragicznych wydarzeń 10 września 2025 roku. Jeśli tak – czy nie jest to przypadkiem dowód w śledztwie dotyczącym publicznej egzekucji politycznego działacza i czy nie powinien on zostać właściwie zabezpieczony? Kto by się jednak przejmował takimi drobiazgami.

JEDYNYMI OKREŚLONYMI PRZEZ ERIKĘ KIRK KONKRETAMI STAŁY SIĘ: ZAPEWNIENIE PREZYDENTOWI TRUMPOWI KONGRESU NA 4 LATA ORAZ WYWALCZENIE PREZYDENTURY J.D. VANCE'OWI W 2028 ROKU.

To jednak nie wszystko. Wisienką na torcie okazał się występ raperki Nicki Minaj – tej samej, o której Kirk mówił, że nie jest dobrym wzorcem osobowym dla czarnoskórych nastolatek w USA. Odnosił się zapewne do jej rozseksualizowanego wizerunku scenicznego i takich też tekstów jej utworów. Artystka, choć wcześniej była znana z poparcia dla ruchu BLM oraz dla ideologii LGBTQ, podczas imprezy AmFest zaprezentowała zupełnie inne poglądy. Minaj w rozmowie z Eriką Kirk stwierdziła, że młodzi mężczyźni w Stanach mają wspaniałe wzorce, którymi są „przystojny i zawadiacki prezydent Donald Trump" oraz „morderca" [„assassin"] wiceprezydent J.D. Vance. Co poeta miał na myśli? Tego nie wie nikt. Amerykańscy komentatorzy śmieją się, że widocznie program MK Ultra zadziałał u Minaj w nieoczekiwanym momencie. Równie dziwna jak wypowiedź prelegentki (której nie wyjaśniła na bieżąco ani nie sprostowała) była reakcja na to kuriozalne zdanie prowadzącej rozmowę Eriki Kirk. Wdowa po Charliem powiedziała jedynie, że Minaj nie ma się niczym przejmować i że ona ją kocha i zna jej serce oraz jej oddanie „Panu".

SZCZYTEM PONUREJ GROTESKI NIEDAWNEJ KONWENCJI TP USA STAŁA SIĘ... REPLIKA NAMIOTU, POD KTÓRYM ZOSTAŁ ZAMORDOWANY CHARLIE KIRK.

O co w tym wszystkim chodziło i czemu miał służyć ten chaos pojęciowy i polityczny? Trudno powiedzieć. Efektem najnowszej konwencji TP USA jest jeszcze większe skłócenie wewnętrzne obozu MAGA oraz przeniesienie punktu ciężkości dyskusji ze sfery wartości i konkretów na personalia i emocje. Czy Erika Kirk to koń trojański Demokratów, którego celem jest ośmieszenie zarówno idei konserwatywnej, jak i głównych postaci republikańskiej sceny politycznej? Byłoby to jakimś wyjaśnieniem tej groteski. Bardziej jednak skłaniam się ku tezie o „wrogim przejęciu" niegdyś chrześcijańskiej organizacji TP USA. A odpowiedź na to, jakie zabarwienie ideowe będzie ona miała pod nowym kierownictwem, przyniosą czas i stara zasada: „Follow the money" [Podążaj tropem pieniędzy].

eprasa.pl ffd7aceac8

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Cezary Krysztopa

Koniec świata, zima

Przyszły mrozy. „Pani kierowniczko, ja to wszystko rozumie, ja rozumie, że wam jest zimno, ale jak zima, to musi być zimno, tak? Pani kierowniczko, takie jest odwieczne prawo natury” – chciałoby się zacytować pracownika kotłowni z ikonicznego filmu „Miś”. Z drugiej strony trochę strach, bo to, co było „odwiecznym prawem natury” w czasach komun, dziś wywołuje palpitację i „czynników rządowych”, i „czynników ideologicznych”.

Jestem z Podlasia. Pamiętam zimy, podczas których zamykano nam szkoły „bo było za zimno”. Ale chociaż rzeczywiście temperatura potrafiła spadać poniżej 30 stopni na minusie, dzieciakom nie przeszkadzało to spędzać całych dni na „górce na mleczarni”, z której notabene zjeżdżało się prosto na ulicę. Dzieci „nie były w stanie” uczęszczać do szkoły, ale były w stanie spędzać czas od rana do wieczora na sankach. Z szalikami w kieszeniach i w rozchełstanych kurtkach. Czasem też, podczas licznych kolizji saneczkowych, z rozbitymi nosami i stłuczonymi palcami.

Pamiętam, jak dojeżdżałem autobusem na studia i teoretycznie drogi powinny być odśnieżone, ale w praktyce wiatr i śnieg czasem wygrywały z płotkami przeciwśniegowymi przy drogach, a czasem tych płotków tam zupełnie nie było. No i droga na jakimś odcinku odśnieżona zamieniała się nagle w śnieżną pustynię, na której nie było widać, gdzie jest łąka, a gdzie teoretycznie powinien być asfalt. Autobus zakopywał się w zaspach, a kierowca mówił: „Panowie, wysiadamy, jak nie wypchniemy autobusu, to tu zostaniemy”. No i mężczyźni wysiadali, zostawiając w autobusie lekko przestraszone kobiety z dziećmi i pchali i odśnieżali tak długo, aż dopchali przez zaspy do jakiegoś rozpoznawalnego odcinka drogi.

Bywało też tak, że nawet będąc chorym, z gorączką, musiałem w ciężki mróz, taki że palce u rąk i u stóp bolały, razem z kuzynostwem z Doliny Biebrzy, pakować manele i jechać do lasu po drewno, bo nie było innej możliwości, żeby ogrzać dom, w którym w nocy zamarzała woda. Albo jedziesz i robisz, albo nie ma na czym gotować. Na noc masz wprawdzie puchową pierzynę, ale kiedyś trzeba wstać.

Dlatego trochę mnie dziś śmieszy panika „czynników rządowych i samorządowych” z powodu kilku stopni mrozu zimą. A być może jeszcze bardziej śmieszy mnie panika „czynników ideologicznych”, które same już nie wiedzą, czy mamy do czynienia z pogodą, klimatem, jego ociepleniem czy ochłodzeniem.

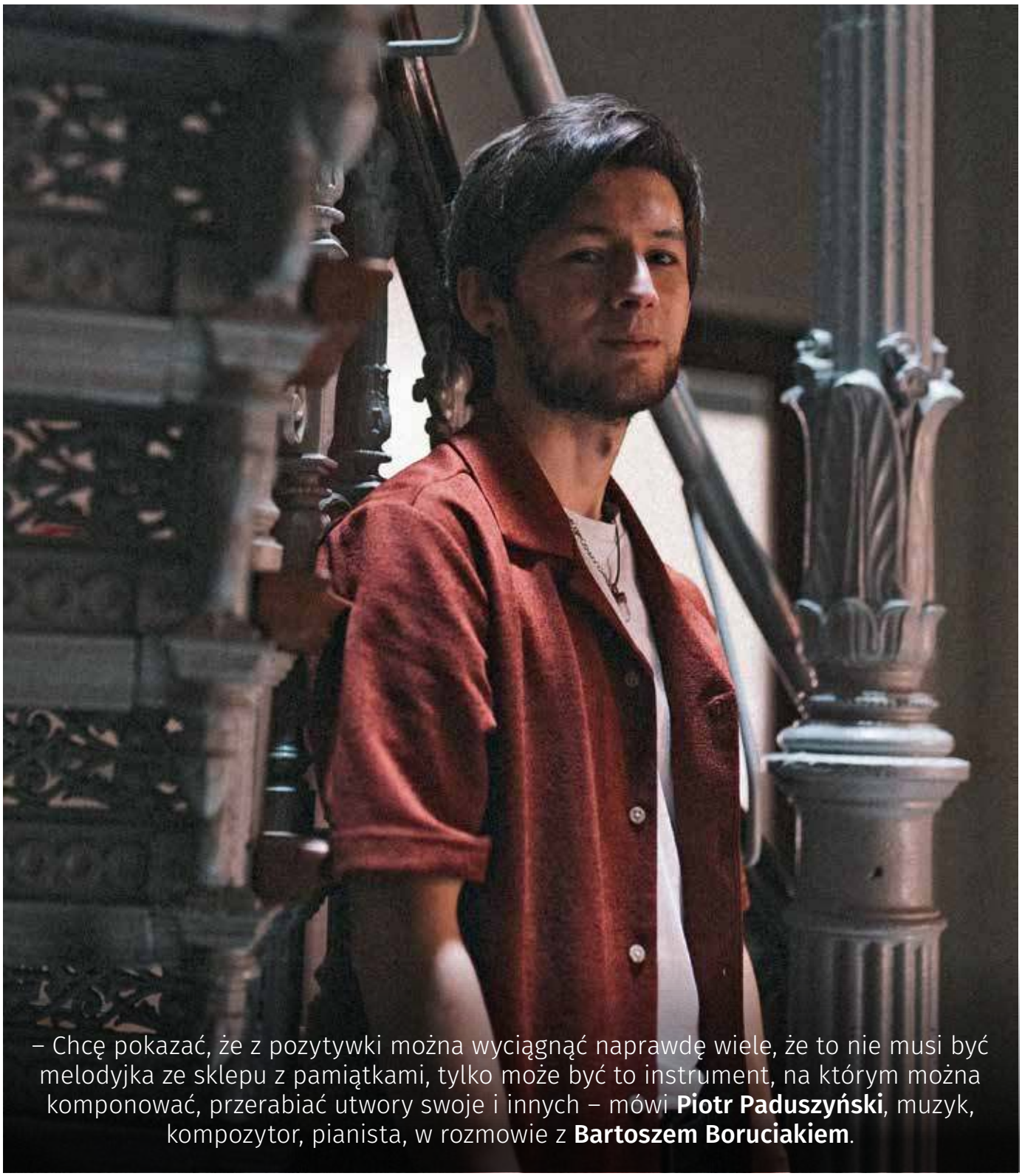
Dzieciaki na sanki, rzucać śnieżkami po szkole, ojcowie do lepienia z nimi bałwanów, pługi i piaskarki na drogi. Wszyscy po cieplejsze kurtki, czapki i rękawice. No, zima przyszła, ani pierwsza, ani zapewne nie ostatnia, wielkie mi co. Fakt, trzeba zadbać o osoby samotne, które mogą mieć kłopoty z ogrzewaniem, ale raczej powinniśmy to przeżyć.

eprasa.pl ffd7aceac8

KULTURA

Czytaj też:

Brigitte Bardot – konserwatywna buntowniczka 54
„Niedziele" pełne cudów 58



– Chcę pokazać, że z pozytywki można wyciągnąć naprawdę wiele, że to nie musi być melodyjka ze sklepu z pamiątkami, tylko może być to instrument, na którym można komponować, przerabiać utwory swoje i innych – mówi **Piotr Paduszyński**, muzyk, kompozytor, pianista, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

Fot. Jerzy Wypych

eprasa.pl ffd7aceac8

„Zorze” są drugim albumem Piotra Paduszyńskiego, na którym przeplatają się kompozycje na pianinie i pozytywce. Nazwa wskazuje na nieuchwytność, zmienność, piękno i barwy – i właśnie to wszystko łączy płyta. Od tajemniczych, sennych czy baśniowych przestrzeni, które widzimy w teledyskach do „Azalii” i „Iskierek”, aż po francuskie uliczki w dzielnicy Montmartre, do których Piotr nawiązuje w utworze „Latarnie”.

JESTEM POZYTYWNYM CZŁOWIEKIEM, dlatego tworzę melodie na pozytywce

– Piotrze, nagrałeś bardzo ciekawą płytę, która brzmi jak pozytywka i kołysanka w jednym. Widzę, że przyniosłeś artefakt.

– Przyniosłem, bo kiedy pomyślimy o pozytywce, to mamy często w głowie takią małą pozytywkę w sklepie z pamiątkami, która brzmi naprawdę kiepsko. Zazwyczaj to jest jedna melodia z „Harry’ego Pottera” albo coś podobnego. Natomiast te melodie, które tworzę, są na pozytywce na trzydzieści dźwięków, a melodię zapisuje się na papierze za pomocą dziurek.

– Skąd taki pomysł? To jest bardzo rzadko spotykane.

– W liceum skomponowałem taki utwór „Utopia” i intro do niego bardzo mi się kojarzyło z pozytywkami. Bardzo chciałem stworzyć swoją melodię. W końcu zmotywowałem się do tego, bo nie jest prosta sprawa. Nie kupimy w Polsce takiego mechanizmu, takiego papieru. Przypadkowo poprzez portal aukcyjny zamówiłem pierwszą pozytywkę z papierem, zacząłem zaznaczać i tak powstała pierwsza melodia, czyli utwór „Utopia”.

– Pierwszy raz w życiu rozmawiam z kimś, kto komponuje muzykę na pozytywki.

– Chcę pokazać, że z tego instrumentu można wyciągnąć naprawdę wiele, że to nie musi być melodyjka ze sklepu z pamiątkami, tylko może być to instrument, na którym można komponować, przerabiać utwory swoje i innych.

PODSTAWOWA WERSJA POZYTYWKI TO KOSZT OKOŁO 400 ZŁOTYCH. ALE W POLSCE JEJ NIE KUPISZ.

– Kim jesteś?

– To jest ciekawe pytanie. Traktuję siebie jako pianistę, kompozytora w pierwszej kolejności, producenta muzycznego, ponieważ sięgam po coraz to inne rozwiązania. Myślę już o koncepcji utworu dużo szerzej niż tylko o odegraniu czy skomponowaniu jednej partii. Myślę o wszystkich warstwach i strukturach. O basie, dodatkach i przestrzeniach. Jak nazwać kogoś, kto tworzy melodie na pozytywki? Jestem pozytywnym człowiekiem, dlatego tworzę takie melodie. Dostałem kiedyś podobny komentarz w mediach społecznościowych. Jestem więc twórcą melodii na pozytywki.

– Dlaczego postawiłeś na muzykę instrumentalną, która jest bardzo niszowa i raczej nie ma szans dotrzeć do dużej grupy odbiorców?

– Może nam się tak zdaje, że nie dotrzemy do tak szerokiej grupy? Mówiąc o potrzebach, widzę, że jest miejsce na taką muzykę. Wydaje mi się, że nawet jest tego coraz więcej. Tak więc nie będzie to mainstream, nie będą to Lady Gaga czy Bruno Mars.

Z QUEBONAFIDE PRZEROBIŁEM UTWÓR „CHEMICZNY BALANS” NA WERSJĘ POZYTYWKOWĄ. RAP NA POZYTYWCE TO JEST COŚ PIĘKNEGO.

eprasa.pl ffd7aceac8

Natomiast jest to bardzo szczera i naturalna część mnie. Tutaj znalazłem swój wydźwięk i mogę dać ujście artystycznym emocjom. Nie sądzę, abym musiał szukać bardziej mainstreamowych rozwiązań.

– Jak opiszesz statystycznemu Kowalskiemu, jaką muzykę tworzysz i jak go przekonasz do swojej twórczości?

– Zapraszam do zapoznania się z moją twórczością osoby, które lubią muzykę ilustracyjną i filmową. To są dźwięki, które budzą skojarzenia, pobudzają wyobraźnię tak, że przenosimy się do różnych miejsc. To może być francuska uliczka z latarniami, to może być park, to może być szum drzew i morza.

DOSTAJĘ INFORMACJE, ŻE KIEDY LUDZIE MAJĄ PROBLEMY Z KONCENTRACJĄ, TO TESTUJĄ MOJĄ MUZYKĘ.

– Jak tworzysz swoją muzykę?

– Zacznijmy od tego, co się dzieje na początku. Na początku papier wygląda tak, jak na samym końcu, czyli nie mamy żadnych zaznaczeń. Mamy tylko trzydzieści linii, a każda z nich odzwierciedla jeden z dźwięków na pozytywce. Granie na pianinie jest dużym ułatwieniem. Zaczynam myśleć o kompozycji na pianinie, aby pomysł nie zaginął. Zapisuję to w normalnych nutach, bo trudno jest zapamiętać kilkaset dźwięków i zacząć je zaznaczać na pozytywce.

– Gdzie można nauczyć się gry na pozytywce?

– No to trzeba przyjść do mnie i zacząć ćwiczyć kręcenie.

– Kręciłeś kiedyś pozytywką na mieście?

– Miałem epizod grania na rynku, ale to było na pianinie kilka lat temu we Wrocławiu. Uważam, że są lepsze miejsca dla pozytywki niż rynek, więc pokazuję, że ten instrument może się pojawić w bardzo różnych miejscach. Takim dużym, nietypowym miejscem było Męskie Granie Orkiestra. W 2024 r. zaczynałem na pozytywce utwór „Wolne duchy". Przerobiłem utwór na wersję pozytywkową, aby stworzyć takie intro. Zaproponowałem pomysł, pokazałem, jak to wygląda, jak to brzmi. Tam była chęć, aby spróbować. Dzięki temu zagrałem później z nimi we Wrocławiu, w Krakowie i Warszawie. Intro na pozytywce i oni po takim klimatycznym wstępie wchodzą z energią.

– Jaką estetykę muzyczną byłoby najtrudniej przełożyć na pozytywkę?

– Byłby to jazz. Chodzi o zmianę tonacji. Utwór, w którym ta tonacja skacze po różnych akordach, różnych harmoniach, jest później nie do zrobienia. Trzydzieści dźwięków na pozytywce daje nam ograniczone możliwości i czasami trzeba zostać w jednej czy dwóch tonacjach i gdzieś spróbować nagiąć rzeczywistość albo odzwierciedlić melodię, harmonię i to ułożyć w jazzie. Czasami te harmonie nie pozwalają na takie zmiany na pozytywce i to jest ograniczenie.

– Każdy może zagrać na tym instrumencie?

– Ważną umiejętnością jest granie melodii czy znajdowanie harmonii ze słuchu. Ćwiczyłem to, bo grałem w różnych projektach i zespołach, więc granie na pianinie ze słuchu pomaga.

– Żyjesz wyłącznie z muzyki czy zajmujesz się jeszcze czymś innym?

– Jestem inżynierem danych. Skończyłem matematykę stosowaną.

– Jak małżonka znosi Twoją grę?

– Jest na takim etapie, który pozwala jej spać przy mojej muzyce. To jest kwestia przyzwyczajenia. Jak ktoś mieszka przy torach tramwa-

O „Zorzy":

Tworzenie albumu „Zorze" było podróżą długą, wymagającą i pełną zaskoczeń. Piotr zdecydował się sam zrealizować nagrania, eksperymentując z ustawieniem nawet sześciu mikrofonów. Nagrania cechuje z jednej strony domowe, przytulne brzmienie, ale z drugiej – nie brakuje też eteryczności i przestrzeni. Co niezwykle ciekawe, w kilku momentach płyty pojawia się pozytywka: nieduży instrument, który pozwala na granie melodii zakodowanych na papierze z dziurkami. „Zorze" podsumowują rozwój Piotra po pandemii – zarówno w warstwie artystycznej, jak i wymykającej się opisom warstwie emocjonalnej. W kompozycjach możemy wysłyszeć momenty nostalgii, ogromnej motywacji, ale i obaw; zachwytu, godzenia się z rzeczywistością, ale też walki z perfekcjonizmem i bezsilnością. Właśnie ze względu na złożoność i wielobarwność utworów płyta została zatytułowana „Zorze". – Nie mogę zmienić nazwy tylko dlatego, że pojawił się festiwal Dawida – mówi artysta. – Żaden inny tytuł nie wywołał we mnie tak silnego poczucia, że coś kliknęło. Zorze rezonują ze mną, z moimi utworami i jestem pewny, że moi słuchacze również stwierdzą, że to dobra nazwa.

eprasa.pl ffd7aceac8

O artyście:

Piotr Paduszyński to pianista, kompozytor i producent muzyczny młodego pokolenia. Tworzy utwory wpisujące się w ramy muzyki neoklasycznej, ilustracyjnej i filmowej. Dzięki debiutanckiemu albumowi „Prześwit", nagranemu w studiu Leszka Możdżera, Piotr wygrał plebiscyt WARTO „Gazety Wyborczej" jako „Muzyczne Odkrycie Roku". Zagrał support m.in. przed Andreą Vanzo. Został laureatem V Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego Wroclavile. Muzyka Piotra jest kojarzona z twórczością artystów takich jak Hania Rani, Gabriel Ólafs czy Ludovico Einaudi. Solowe koncerty zagrał m.in. w Otwartej Pracowni Jazdów (Warszawa), Vertigo (Wrocław), Scena na Piętrze (Poznań), Strefa (Kraków) czy podczas festiwalu FAMA. Artysta zaczął występować za granicą. Za sobą ma koncert w Berlinie, a na rozpisce pojawiają się Czechy. W 2024 r. wydał neoklasyczną EP „Fasada", gdzie oprócz domowego pianina i słyszalnego mechanizmu pojawiają się dodatkowe instrumenty elektroniczne. Rok później premierę miała elektroniczna EP „eutymia (music for non-existing game)". Obie EP są dostępne w formacie stereo oraz dźwięku przestrzennego Dolby Atmos. Piotr od czterech lat pokazuje, że pozytywka pasuje nie tylko do domowego zacisza, ale również na wielkie festiwalowe sceny. Piotr stworzył blisko 80 aranżacji na pozytywkę, przerabiając piosenki takich osób jak Billie Eilish, Lady Gaga czy Quebonafide. Artysta ma na koncie stworzenie melodii na zamówienie Dawida Podsiadły czy Zalii, support przed Andreą Vanzo, setki tysięcy wyświetleń na TikToku, ale jego największym dotychczasowym sukcesem były występy z Orkiestrą Męskiego Grania 2024, w tym podczas finału dla 40 000 osób (nie licząc osób oglądających transmisję).

jowych, przy pociągach, to też się do tego przyzwyczaja i zasypia.

– Muzyka na pozytywkę może być lekiem na bezsenność?

– Spróbowałbym tego. Jeśli ktoś ma problemy z zasypianiem, to każda opcja, która działa i która nie krzywdzi nas i otoczenia, jest warta sprawdzenia. A to zdecydowanie może tylko pomóc, nie zaszkodzić. Polecałbym spróbować. Dostaję też informacje, że kiedy ludzie mają problemy z koncentracją, to testują moją muzykę.

– Słyszałem, że chciałbyś przełożyć rap na pozytywkę.

– Zgadza się. Najlepiej, gdyby to był Bedoes czy Quebonafide. Zresztą z Quebonafide przerobiłem utwór „Chemiczny balans" na wersję pozytywkową. Rap na pozytywce to jest coś pięknego.

– Do jakiego filmu chciałabyś dodać swoje pozytywkowe dźwięki?

– Do głowy przyszedł mi serial „Stranger Things".

– Co jest strasznego w grze na pozytywce?

– Pewna losowość, jak się zamawia mechanizm. Miałem zamówienie dla Dawida Podsiadły, żeby była pozytywka do utworu „To, co masz Ty". Był zamysł, aby gdzieś podczas kameralnego koncertu ją wpleść. Natomiast nagłośnienie pozytywki czy kręcenie nią nie jest takie proste.

– Załóżmy, że po naszej rozmowie chciałbym nauczyć się gry na pozytywce. Od czego mam zacząć?

– Te lekcje to metoda prób i błędów.

– Chciałbym, żebyś był moim nauczycielem.

– No to musiałbym się dobrze zastanowić. Przydałaby się wstępna wiedza o muzyce, nutach, pianinie.

– Ile kosztuje pozytywka?

– Podstawowa wersja pozytywki to koszt około 400 złotych. Ale w Polsce jej nie kupisz. Raz zamawiałem z Chin, innym razem z Hiszpanii.

– Co chcesz obecnie osiągnąć jako muzyk?

– Mam w sobie bardzo dużo motywacji, aby działać i pojawiać się w różnych miejscach, jak chociażby z Orkiestrą Męskiego Grania. W tym momencie to jest dla mnie priorytet, żeby szukać połączeń z raperami, a więc wprowadzenia pozytywki i jej detali do rapowego obiegu. Tak samo z pianistyczną muzyką i z koncertami. Jestem dość nieoczywistą postacią. To może zabrzmieć dziwnie, natomiast jak ktoś już mnie poznaje, to zawsze jest zdziwiony, jak wiele rzeczy się dzieje w mojej głowie. Stawiam na różnorodność.

JESTEM INŻYNIEREM DANYCH. SKOŃCZYŁEM MATEMATYKĘ STOSOWANĄ.

– Załóżmy, że jestem ministrem kultury i chcę rozpowszechnić grę na pozytywce i planuję powołać Cię na ambasadora tej akcji. Przyjąłbyś ode mnie taką propozycję?

– Przyjąłbym ją.

eprasa.pl ffd7aceac8

Brigitte Bardot – konserwatywna buntowniczka

28 grudnia 2025 roku w wieku 91 lat zmarła w Tulonie Brigitte Bardot, francuska aktorka, piosenkarka, **ikona kontrkultury** lat 60. To ona została uwieczniona w rzeźbie Marianny, symbolu republikańskiej Francji. 7 stycznia 2026 roku spoczęła na cmentarzu w Saint-Tropez w grobie rodzinnym.

Piotr Łopuszański

W Polsce zwana była Bardotką. Zdobyła serca Polek i Polaków, gdy po okresie stalinowskim zaczęły docierać filmy z jej udziałem. To był powiew świeżości. Brigitte emanowała nie tylko zmysłowością, ale też była wzorem kobiety wolnej, wyemancypowanej. Wówczas w Stanach Zjednoczonych gwiazdą była Marylin Monroe, a we Włoszech – Sophia Loren (niemal rówieśniczka Brigitte). Tamte aktorki miały obfity biust i używały pseudonimów. Bardot to było prawdziwe nazwisko. Brigitte miała dziewczęcą sylwetkę (jak Audrey Hepburn) i wdzięk widoczny na ekranie.

Urodziła się w 1934 roku w Paryżu przy Place Viollet w rodzinie zamożnej burżuazji. Ojciec, inżynier Louis Bardot miał kilka fabryk. W domu zatrudniał lokaja i guwernantkę dla córek. Brigitte wraz z siostrą Mijanou dzieciństwo spędziła w Passy, eleganckiej dzielnicy paryskiej socjety. Rodzina była konserwatywna i takie zasady wpoiła córkom. Dziewczyna chodziła do szkoły katolickiej. Później brała lekcje baletu. Tancerką jednak nie została. Mimo że uważała się za osobę brzydką, trafiła na okładki czasopisma „Elle", a potem do filmu, grając epizody i małe rólki, za to u boku wielkich: Jeana Gabina, Bourvila, Gérarda Philipe'a, Michèle Morgan, Jeana Marais. Poznała Kirka Douglasa, Glorię Swanson, Vittoria De Sikę. Później grała z Jeanne Moreau, Claudią Cardinale, Michelem Piccolim oraz Seanem Connerym. Aktorką była mierną, z czego zdawała sobie sprawę.

Gdy zakochał się w niej Roger Vadim (właściwie Plemiannikow), była niepełnoletnia. Romans ze starszym o 6 lat dziennikarzem pisma „Paris Match" stał się dla BB szkołą życia. Zaszła w ciążę i dokonała aborcji, o czym jej rodzice nie wiedzieli. Ojciec sprzeciwiał się jej związkowi z Vadimem, więc dziewczyna postanowiła się otruć gazem. Wreszcie Louis Bardot zgodził się na ślub, gdy tylko jego córka osiągnie pełnoletniość.

Vadim skłonił Brigitte do tego, by rozjaśniła włosy. Sam dla ukochanej zmienił wyznanie na katolickie. Ślub cywilny odbył się 20 grudnia 1952 roku, kościelny – następnego dnia. Mąż tak mówił o Brigitte: „Jest moją żoną, moją córą i moją kocha-



Posąg Brigitte Bardot w Buzios Front Beach (czyli Orla Bardot) przy pięknym chodniku z butikami i restauracjami na plaży Canto w Buzios w Brazylii, styczeń 2022 r.

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl ffd7aceac8

ną". Początkowo pani Plemiannikowa poddawała się władzy Rogera, który niebawem został reżyserem.

W 1956 roku Vadim zrealizował film „I Bóg stworzył kobietę", w którym narodziła się nowa gwiazda kina. Dzięki małżeństwu z reżyserem Brigitte dostała główną rolę. Na ekranie stała się wampem z grzywą jasnobrązowych włosów. Po premierze filmu Bardotka okrzyknięta została symbolem seksu. I mimo że w filmie nie ma tak zwanych „momentów", to erotyzm emanujący z młodej aktorki nie tylko był widoczny na ekranie, ale doprowadził do jej romansu z Jeanem-Louisem Trintignantem (który jej się początkowo nie spodobał). Vadim został rogaczem. Gdy zaszła ponownie w ciążę, znowu zdecydowała się na aborcję. Nie chciała być matką. A Vadim już przestał jej pożądać. Coś się między nimi wypaliło. Być może połączyło ich tylko pożądanie, które wzięli za miłość. Bardotka nie umiała kochać nikogo poza sobą i swoimi zwierzętami. Rok po premierze filmu małżeństwo z Vadimem zostało rozwiązane.

Prasa francuska pisała o Bardotce jako kobiecie wyzwolonej, zbuntowanej. Stała się „symbolem pokolenia". Konserwatyści uważali



eprasa.pl ffd7aceac8

ją za osobę niemoralną, która niszczy tradycyjne wartości: rodzinę, małżeństwo. Aktorka na konferencjach mówiła to, co myśli. Była inteligentna i szczera, co zaskakiwało dziennikarzy, którzy sądzili, że będą mieli do czynienia z głupią gąską.

Bardot zaczęła sobie zdawać sprawę ze swego magnetyzmu. Przebierała w mężczyznach, wykorzystując ich, niewiele w zamian dając. Jej kochanków można liczyć na pęczki. Byli wśród nich Sacha Distel, Sami Frey, Serge Gainsbourg. Zdobywała mężczyzn słabych, których wykorzystywała i porzucała. Gdy na planie westernu „Shalako" poznała Seana Connery'ego, znanego z filmów o Jamesie Bondzie, Bardotce nie spodobał się „ten łysy i zarośnięty" Szkot. Niebawem jednak zaprzyjaźnili się, chociaż romansu między obojgiem nie było. Connery był zbytnim „macho".

Brigitte Bardot z jej pragnieniem wolności została zaanektowała przez środowiska lewicowe. Komunizujący reżyserzy „nowej fali" angażowali ją do swoich filmów. Henri-George Cluzot nakręcił z nią „Prawdę" (ulubiony film Bardot), Jean-Luc Godard „Pogardę". BB stała się symbolem kontrkultury, wolnej miłości, buntu młodego pokolenia wobec obyczajów burżuazji. Po zbrodniach II wojny światowej (i kolaboracji Francuzów z Niemcami) we Francji zapanował duch nihilizmu. Dawne wartości odrzucono. W kawiarniach Paryża egzystencjaliści kwestionowali dotychczasowy ład społeczny. Wielu z nich zaangażowało się w komunizm, chociaż np. Albert Camus szybko zorientował się, czym naprawdę jest ideologia sowiecka. Francuzi, mimo lania pod Moskwą w 1812 roku, czuli ogromny sentyment do Rosji. Bardotka też. Wyszła przecież za Rosjanina, potomka „białego" emigranta.

Gdy grała w filmie „Babette idzie na wojnę", poznała Jacques'a Charriera, który grał podoficera. Zakochała się w nim i szybko wyszła za niego za mąż. I chociaż tym razem urodziła dziecko, a Jacques starał się jej nieba przychylić, to małżeństwo szybko się rozpadło. Brigitte nie potrafiła być ani matką, ani żoną. Po rozwodzie w 1962 roku synem Nicolasem zajął się ojciec i jego rodzice.

W FOLDERACH O SAINT-TROPEZ ZAMIESZCZANO FOTOGRAFIĘ BRIGITTE NP. ROBIĄCEJ ZAKUPY NA TARGU. JEJ OBECNOŚĆ STAŁA SIĘ MAGNESEM DLA TURYSTÓW.

W 1966 roku Brigitte wyszła za milionera Guntera Sachsa von Opel, spadkobiercy rodzinnej fortuny, playboya, bywalca Sankt Moritz, kochanka żony szacha perskiego Sorai. Gdy starał się o względy Brigitte, przylatywał prywatnym helikopterem nad posiadłość aktorki i zrzucał jej bukiety róż.

Już w trakcie małżeństwa miała romans z Serge'em Gainsbourgiem, piosenkarzem i autorem tekstów. W 1969 roku rozwiodła się z Sachsem, który niemal natychmiast ożenił się z modelką Mirją Larsson.

W latach 60. aktorka próbowała sił w piosence. Miała przebój „Harley Davidson". Z Serge'em Gainsbourgiem nagrała piosenkę „Bonnie and Clyde", a także pierwszą wersję późniejszego przeboju „Je t'aime... moi non plus". Po rozstaniu z Bardotką Gainsbourg nagrał go ponownie z nową kochanką Jane Birkin.

Postawa Brigitte wobec mężczyzn imponowała feministkom. We Franci kobiety nadal podlegały mężczyznom, np. musiały pytać o zgodę męża na podjęcie pracy. Nic dziwnego, że domagały się równości. Tymczasem BB nad mężczyznami dominowała. Zdobywała ich i porzucała. Po latach jednak powiedziała: „Im bardziej kobiety starają się wyzwolić, tym bardziej są nieszczęśliwe". Wywołało to oburzenie środowisk lewicowych. Zaczęto krytykować aktorkę za jej poglądy.

Brigitte Bardot występowała przeciw muzułmańskim imigrantom zalewającym Europę za narzucanie Europejczykom swoich obyczajów. Brigitte wzywała rząd Kanady do zaprzestania polowań na foki. Jej kampania nie przyniosła rezultatu. Efektem jej działań jest tylko ładne zdjęcie Bardotki z młodą foczką.

POSTAWA BRIGITTE WOBEC MĘŻCZYZN IMPONOWAŁA FEMINISTKOM. WE FRANCI KOBIETY NADAL PODLEGAŁY MĘŻCZYZNOM, NP. MUSIAŁY PYTAĆ O ZGODĘ MĘŻA NA PODJĘCIE PRACY.

W 1969 roku aktorka pozowała do rzeźby Marianny, symbolu Republiki. Nigdy wcześniej kobieta w czapce frygijskiej nie miała rysów żyjącej osoby. Pierwsza, która użyczyła swojego wizerunku, była BB. Po niej do rzeźby pozowały Mireille Mathieu, Catherine Deneuve, Sophie Marceau.

W wywiadach często mówiła, że kino jej nie interesuje. W okresie największej popularności fotorepor-

eprasa.pl ffd7aceac8

terzy nie dawali Brigitte spokoju. Fotografowali ją z ukrycia. Potem prasa pisała o każdym nowym romansie BB. Reporterzy naliczyli 22 kochanków Bardotki. Mogło ich być więcej. W prasie pokazywano zdjęcia Bardotki i jej nowo narodzonego syna. Aktorka czuła się osaczona i popadła w depresję. Były okresy, gdy nadużywała alkoholu. W swoje urodziny w 1960 roku podjęła próbę samobójczą. Realia życia gwiazdy pokazał film „Życie prywatne", którego reżyserem został Louis Malle. To chyba najlepszy film aktorki.

W latach 70. Bardot zmieniała kochanków jak rękawiczki i z nikim nie potrafiła nawiązać więzi emocjonalnej. Z wiekiem zaczęła korzystać z „usług" żigolaków. Tuż przed swoimi czterdziestymi urodzinami, w 1974 roku, oświadczyła, że kończy z aktorstwem. Czuła, że jej uroda mija, a talentu dramatycznego nie miała. Odeszła w porę, gdy jeszcze o niej pamiętano, choć w ostatnim okresie grała już w raczej drugorzędnych filmach, w rodzaju „Gdyby Don Juan był kobietą" Vadima.

Zdarza się, że aktorzy nie wytrzymują bez kamery i wracają. Alain Delon, który przeszedł na emeryturę w latach 90., powrócił w 2008 roku w roli Cezara w komedii „Asterix na Igrzyskach Olimpijskich". Bardotka nigdy nie zmieniła zdania i nie wróciła na plan filmowy. Zaszyła się w swojej posiadłości na Lazurowym Wybrzeżu. Czasem w prasie pojawiało się jej zdjęcie z nowym kochankiem, zaś w folderach o Saint-Tropez zamieszczano fotografię Brigitte robiącej zakupy na targu albo spacerującej uliczkami miasta. Jej obecność stała się magnesem dla wielu turystów.

Bardot po rezygnacji z aktorstwa rozpoczęła działalność na rzecz lepszego traktowania zwierząt.

BARDOT MÓWIŁA, ŻE NIE MA NIC PRZECIWKO RELIGII MUZUŁMAŃSKIEJ, ALE FRANCJA NIE POWINNA BYĆ PAŃSTWEM ISLAMSKIM.

Sprzeciwiała się polowaniu na słonie i domagała się zakazu handlu kością słoniową. Występowała przeciw ubojowi rytualnemu. Mimo to obrońcy zwierząt mają jej za złe, że wykastrowała osła swojego sąsiada.

W latach 80. w jednym z pism francuskich zamieszczono rysunek przedstawiający dwie pomarszczone staruszki. Jedna z nich mówiła: „Chciałyśmy wyglądać jak Brigitte Bardot, no to wyglądamy". Bo rzeczywiście Bardotka w wieku 50 lat wyglądała na staruszkę. Zbyt intensywne opalanie się w Saint-Tropez oraz papierosy palone nałogowo doprowadziły do prędkiego postarzenia się skóry aktorki. Dla porównania Raquel Welch (znana z „Trzech muszkieterów" i „Dublera") po pięćdziesiątce wyglądała tak, jakby miała 35 lat.

W kolejnej dekadzie Brigitte ujawniła swoje konserwatywne poglądy. Popierała Front Narodowy Jean-Marie Le Pena. Nazywano ją „prawicową nacjonalistką", a ona głosiła poglądy racjonalne. Sprzeciwiała się nielegalnej imigracji. Sprzeciwiała się też promowaniu tak zwanych małżeństw homoseksualnych. Występowała przeciwko bezmyślnemu okrucieństwu na corridach. Lewica oskarżała ją o nienawiść do islamu. Bardot odpowiadała, że nie ma nic przeciwko religii muzułmańskiej, ale Francja nie powinna być państwem islamskim. Sądy kilkakrotnie skazywały ją na grzywny za poglądy polityczne. Tak zwana poprawność polityczna okazała się kneblem dla wolności słowa. To jest groźne, bo wyklucza z dyskursu pojęcia i terminy utrwalone w debacie, ogranicza wolność słowa. Jednak nie wszystkie wypowiedzi Brigitte Bardot były mądre. Pewnego razu oświadczyła, że chętnie przyjmie obywatelstwo rosyjskie, nie zważając na zbrodnie Putina w Czeczenii, Gruzji i na Ukrainie.

W 1992 roku poślubiła Bernarda d'Ormale, działacza Frontu Narodowego, młodszego od niej o 7 lat. To małżeństwo okazało się najbardziej trwałe.

W październiku 2025 roku sędziwa Bardot trafiła do szpitala po problemach z niewydolnością płuc. W internecie pojawiły się wówczas plotki, że BB umarła. Oburzona Brigitte napisała, że jeszcze żyje i nie wybiera się na tamten świat. 28 grudnia, 3 miesiące po swoich urodzinach, odeszła. Zamknęła się karta historii nie tylko kina, ale i popkultury. Przed laty aktorka powiedziała: „Moja dzika i swobodna natura jednych poruszyła, a innych odblokowała". Pozostały po niej filmy, piosenki i mit BB, marki bardziej rozpoznawalnej na świecie niż samochody Renault.

PO REZYGNACJI Z AKTORSTWA ROZPOCZĘŁA DZIAŁALNOŚĆ NA RZECZ LEPSZEGO TRAKTOWANIA ZWIERZĄT.

eprasa.pl ffd7aceac8

FILM



Fot. kadr z filmu

„Niedziele” pełne cudów

Hiszpański film „Niedziele”, który w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia wszedł na polskie ekrany, to wielkie zaskoczenie, a zarazem suma wielu zaskoczeń. W Europie w 2025 roku powstał film o nastolatce odczuwającej powołanie do życia w zakonie klauzurowym. Film niebędący krytyką ani satyrą na taki wybór. Do tego Alauda Ruiz de Azúa, hiszpańska reżyser „Niedziel”, jest osobą **niewierzącą**! Wszystkie te rzeczy zaskakują, przecież i sam film na wielu płaszczyznach jest nieoczywisty.

Krzysztof Karnkowski

Czy mamy do czynienia z cudem? Tego nie wiemy, duch wieje przecież, kędy chce. Na pewno i miejsce, i czas nie są dziś oczywiste dla takich produkcji. Może, gdyby była to lewicowa, ostra satyra, w której bohaterka poddana praniu mózgu decyduje się na życie w klauzurze, jednak ostatecznie emancypuje się, odkrywając uroki nastoletniości i dorastania wśród zepsutej, beztroskiej wielkomiejskiej elity? Przyznam, że takiego dzieła spodziewałbym się dużo prędzej. A jednak okazuje się, że wciąż może być inaczej.

Wielkie zaskoczenie

Ainara (w tej roli młodziutka, będąca de facto w wieku granej przez siebie bohaterki i być może też dzięki temu aż tak wiarygodna Blanca Soroa) jest zwykłą, pogodną dziewczyną, dojrzewającą w dość skomplikowanej rodzinie. Widzowi chwilę zajmuje

eprasa.pl ffd7aceac8

połapanie się w tych wszystkich relacjach. Jednak właśnie ta złożoność składa się na bardzo ciekawą społeczną warstwę filmu. Spróbujmy to uporządkować, bez gwarancji, że wszystko wyłapaliśmy: Ainara mieszka z ojcem Iñakim. Są też z nimi dwie młodsze dziewczynki, które jednak nie są córkami Iñakiego, a kobiety (drugiej żony, partnerki?), z którą ów żyje. Matka Ainary umarła młodo, dlatego wychowaniem dziewczyny na niemal równych prawach zajmuje się ciotka Maite (w tej roli chyba najbardziej znana z obsady aktorskiej Patricia López Arnaiz), a swoje do powiedzenia ma również jej partner Pablo. Jest jeszcze babcia, choć akurat ona jest chyba najmniej obecna w całej tej opowieści. Nasza bohaterka śpiewa w kościelnym chórze, jest mocno uduchowiona, jeździ też na szkolne wyjazdy do żeńskiego klasztoru. Cała rodzina uczestniczy w uroczystościach religijnych, wydawałoby się więc, że gdy Ainara poczuje swoje powołanie, nikt nie powinien robić jej problemów. Jednak już podczas pierwszych scen w kościele widzimy, że duchowość rodziny jest pusta, jest na pokaz, postchrześcijańska można by rzec. Jeszcze pełna form, do których wprowadza się dzieci, lecz ile w tym wszystkim wiary? Maite deklaruje się jako niewierząca, lecz jak jest z pozostałymi? Można założyć, że nie są ani zimni, ani gorący. Widzimy tu więc wiarę gdzieś między rytualizacją i zanikiem, a jednak odradza się ona w przedstawicielce najmłodszego pokolenia.

PODCZAS PIERWSZYCH SCEN W KOŚCIELE WIDZIMY, ŻE DUCHOWOŚĆ RODZINY JEST PUSTA, POSTCHRZEŚCIJAŃSKA.

Prawo wyboru

Fascynacji życiem klasztornym, zmieniającej się w silną duchową potrzebę oddania się mu przez młodą dziewczynę, tak naprawdę nie rozumie nikt. A poza ojcem, który chyba po prostu chce mieć spokój, nikt też planów nastolatki nie popiera. Wręcz przeciwnie, zaczynają się pomysły, jak zmienić jej nastawienie. Nikt, co warto docenić, dziewczyny nie wyśmiewa, każdy w rodzinie darzy ją miłością, przez nietypową historię i wspólne wychowanie jest ona zapewne wręcz oczkiem w głowie. Motywem może być więc specyficzny, usprawiedliwiony miłością egoizm, może też trochę zazdrość. Choć ciotka Maite apeluje do rozsądku dziewczyny, namawiając ją do poznania życia, w tym do wejścia w świat relacji damsko-męskich, choćby i na próbę, zapewne po pojawieniu się w życiu Ainary nie Chrystusa, a kawalera z poważnymi zamiarami, zapewne też szukałaby stu powodów, by być na nie. Choć przecież w takiej sytuacji utrata ukochanej córki i siostrzenicy miałaby zapewne trochę mniejszy wymiar.

Rodzina kwestionuje dojrzałość dziewczyny, choć pod pewnymi względami to właśnie ona wydaje się najbardziej dojrzała. Jednak warto zauważyć, że sprzeciw bliskich nie ma podłoża w niewierze czy nawet antyklerykalizmie, choć ciotka za Kościołem wyraźnie nie przepada. Wiara młodej Ainary przez wszystkich traktowana jest z szacunkiem, ba, wciąż wydaje się czymś oczywistym i naturalnym (co może budzić pewne skojarzenia ze światem pokazanym w głośnym w zeszłym roku filmie „Ministranci" Piotra Domalewskiego). I tu wracamy do naszej listy zaskoczeń. Może dziwić bowiem, że niewierząca reżyserka, a zarazem scenarzystka, zarówno życie religijne, jak i zakonne ukazała nie tylko z życzliwością, ale wręcz z głębokim zrozumieniem – do tego stopnia, że sam nie pomyślałbym przez chwilę, że nie oglądam dzieła głęboko wierzącej katoliczki. I że Alauda Ruiz de Azúa postanawia właśnie tę kwestię postawić jako wzór i obraz walki młodej dziewczyny, młodej osoby, o prawo do własnej drogi, własnych wyborów życiowych. Bo znów – w 2025 roku, w kulturze zachodniej spodziewalibyśmy się czegoś zupełnie innego. Zauważmy, że liczba powołań spada gwałtownie nawet w Polsce, zwłaszcza w przypadku młodych kobiet, Europa staje się kontynentem misyjnym, a Hiszpania, choć wciąż uważana za jeden z bardziej katolickich krajów, nie odbiega od ogólnych trendów: deklaratywnych katolików według statystyk jest dziś 55,5%, w tym stale praktykujących – poniżej 20%. To już bardziej katolicyzm kulturowy niż dogmatyczny. Przywołane statystyki

NIEWIERZĄCA REŻYSERKA ZARÓWNO ŻYCIE RELIGIJNE, JAK I ZAKONNE UKAZAŁA NIE TYLKO Z ŻYCZLIWOŚCIĄ, ALE WRĘCZ Z GŁĘBOKIM ZROZUMIENIEM.

eprasa.pl ffd7aceac8

znakomicie tłumaczą więc pokazane w filmie zachowanie rodziny Ainary, nietypowość jej drogi, więc i nieoczywistość wybranej przez reżyserkę tematyki. I tu jeszcze jedno zaskoczenie: film spotkał się dobrym odbiorem, wygrywając tuż po premierze Złotą Muszlę na festiwalu w San Sebastián i dyskontując ten sukces w kinach. W Hiszpanii film zarobił 4,5 miliona dolarów i co prawda plasuje się na 26. pozycji listy oglądanych w kinach tytułów, to jednak jest równocześnie najczęściej wybieranym obrazem dystrybuowanym przez podmiot krajowy, nie międzynarodowy koncern. A w Polsce? Nie ma jeszcze danych, jak „Niedziele" wypadają w tegorocznym box office. W weekend otwarcia w Polsce film obejrzało niewielu widzów (dokładnie – 3422, co i tak starczyło, by wejść na 10. miejsce zestawienia), trzeba jednak wziąć pod uwagę, że mówimy o dość nietypowym momencie, samej końcówce roku. „Niedziele" są też dobrze oceniane przez krytykę i widzów, zarówno Filmweb, jak i międzynarodowe IMDb dają mu oceny bliskie 8 na 10 punktów, a z drugiej strony film polecany jest przez osoby duchowne aktywne w mediach społecznościowych.

W HISZPANII FILM ZAROBIŁ 4,5 MILIONA DOLARÓW.

Nie Hollywood

„Niedziele" nie są przy tym filmem banalnym ani też łatwym w odbiorze. To dzieło bardzo głębokie, kreślące bardzo szczegółowy obraz zarówno złożonych rodzinnych relacji (łącznie z tłem finansowym i społecznym), jak i życia zakonnego. Wszystko utrzymane jest w oszczędnej konwencji, z lokacjami niemal zawsze we wnętrzach domowych, kościelnych lub klasztornych, na ogół też dość oszczędnie oświetlonych. A jednak wszystko wygląda wiarygodnie, a dla polskiego widza chyba nawet wiarygodniej niż w optymistycznym, ścigającym się z nie zawsze dobrym skutkiem z Hollywood amerykańskim kinem chrześcijańskim. Święcące triumfy produkcje z serii „Bóg nie umarł" (znakomita swoją drogą), zeszłoroczna produkcja Netflixa „Maryja" czy przebrany za horror manifest o wygodnym dla demonów upadku dzisiejszego świata „Złowrogi" (do obejrzenia w CDA), a nawet głośny serial „The Chosen" o życiu i nauczaniu Jezusa Chrystusa i apostołach to dzieła godne uwagi, a jednak leżące na zupełnie innej półce. Wszystkie te produkcje pokazują jednak, że dla Boga wciąż jest miejsce w kinie i na domowych ekranach. Co więcej, głównie dzięki wytrwałości reżysera Michała Kondrata produkującego kolejne fabularyzowane dokumenty (a także niezłą fabułę „Prorok" o prymasie Stefanie Wyszyńskim) coraz lepiej poczyna sobie również w Polsce.

W kategorii cudu

„Niedziele" z początkiem roku pojawiły się w kolejnych kinach, a po trzech miesiącach od premiery będą możliwe również pokazy w parafiach i innych zainteresowanych ośrodkach. Warto więc skorzystać z okazji i na film się wybrać lub, jeśli leży to w naszych możliwościach, zorganizować jego pokaz. To kino nieoczywiste, zaskakujące, ambitne, a zarazem – jak pokazuje hiszpański odbiór – bardzo potrzebne. W laicyzującym się świecie niewierząca reżyserka pokazuje prawdziwą wiarę, a zarazem moc jej przyciągania; problemy przeciętnej i przeoranej przez życie rodziny, wreszcie zaś chwyta moment, w którym ludzie odchodzą już od dawnej wiary, wciąż praktykując jej obyczaje (a więc w dużym stopniu – nasz świat), a w którym Bóg, wiara, powołanie wciąż odnajdują drogę do serc i umysłów. Nie szedłbym tak daleko, by nazwać „Niedziele" arcydziełem. O ile jednak w kategoriach duchowych fakt powstania tego dzieła można uznać za jakąś formę cudu, o tyle artystycznie i socjologicznie jest to po prostu rzecz warta uwagi. Zwłaszcza jeśli sami jesteśmy ludźmi wiary. Również – wiary gasnącej. A czas tuż po Bożym Narodzeniu, gdy oddaliśmy hołd – tylko czemu właśnie: Narodzonemu czy bardziej przyjemnym przecież dla nas na ogół zwyczajom i wielowiekowej tradycji? – wydaje się szczególnie sprzyjać refleksji, którą „Niedziele" mogą wywołać.

TO KINO NIEOCZYWISTE, ZASKAKUJĄCE, AMBITNE, A ZARAZEM – JAK POKAZUJE HISZPAŃSKI ODBIÓR – BARDZO POTRZEBNE.

„Niedziele", reż. i scen.: Alauda Ruiz de Azúa, wyst.: Blanca Soroa, Patricia López Arnaiz, Miguel Garcés, Hiszpania 2025. S

eprasa.pl ffd7aceac8

MIX PŁYT Bartosz Boruciak

JOOST – KLEINKUST
WYD. WŁASNE



To płyta, która – zgodnie z opiniami fanów i krytyków – jest energetyczną i chaotyczną mieszanką gabberu, eurodance'u, happy hardcore'u i pop-rapu, typową dla stylu Joosta, ale jednocześnie budzącą podzielone reakcje. Długość, czyli 54 minuty, i liczba krótkich utworów sprawiają, że album może się dłużyć. Płyta nie każdemu od razu przypadnie do gustu – bywa nierówna i kontrowersyjna – ale dla fanów Joosta jest typową dawką jego niepokornego stylu. To projekt, który wymaga otwartego podejścia i kilku przesłuchań, zanim w pełni zaciekawi.

MIYA FOLICK – EROTICA VERONICA
WYD. NETTWERK



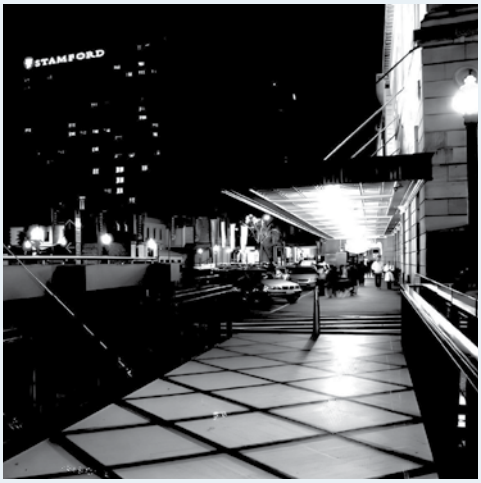
To intymny, gitarowo napędzany album indierockowy. To trzecia płyta artystki, nagrana z zespołem na żywo w studiu, co nadaje utworom naturalną, organiczną energię. Album porzuca część wcześniejszych, bardziej elektronicznych elementów na rzecz klasycznych gitar, basu i perkusji, tworząc ciepły, lecz surowy krajobraz dźwiękowy. Produkcja jest klarowna, ale nie nadmiernie wypolerowana – co podkreśla wokal Folick i emocjonalny ładunek piosenek. Krążek nie tyle epatuje powierzchowną estetyką, co zaprasza do zanurzenia się w psychologiczne niuanse relacji i tożsamości. Miya Folick łączy tu refleksję z przyjemnością słuchania – to płyta introspektywna, ale i pełna życia.

WITHIN DREAMS – WITHIN DREAMS
WYD. SCHEME



„Within Dreams" to energetyczny i melodyjny debiut posthardcore'owy, który łączy klasyczne brzmienie sceny emo/hardcore z bardziej przystępnymi, chwytliwymi refrenami. Zespół ze Sztokholmu, w którego składzie są muzycy znani m.in. z formacji Speedway, serwuje krótki, intensywny materiał pełen zadziornych gitar, szybkich rytmów i szczerych, emocjonalnych wokali. Jest to udany debiut dla fanów nowoczesnego, melodyjnego post-hardcore'u – brzmi świeżo, a jednocześnie czerpie z korzeni gatunku, oferując kawałki, które chętnie puścisz raz jeszcze.

RICHARD SALLIS – CASINO
WYD. NEIDBAU



Jest to intymny i refleksyjny zbiór utworów w klimacie indie rocka. Płyta składa się z 10 utworów i trwa około 45 minut, a jej przygotowanie zajęło artyście wiele lat – Sallis napisał większość materiału jako nastolatek, a dopiero teraz zdecydował się go odświeżyć. Album porusza się między gitarami, subtelnymi smyczkami i brzmieniami organów, tworząc ciepłą, organiczną atmosferę. „Casino" to spójny, emocjonalnie nośny debiutancki projekt, który łączy indierockowe korzenie z osobistą opowieścią autora. To płyta, którą warto przesłuchać w spokojnym nastroju, aby docenić zarówno jej tekstową głębię, jak i aranżacyjną subtelność.

eprasa.pl ffd7aceac8

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

OPŁATEK BRANŻOWY W SALI BHP.

Piotr Duda: „Rok 2026 będzie dla nas bardzo trudny”





Fot. arch. „S”

W miniony czwartek członkowie Prezydium Komisji Krajowej, sekretariatów i sekcji branżowych z NSZZ „Solidarność” spotkali się w Gdańsku na tzw. opłatku. Związkowcy wraz z księdzem Ludwikiem Kowalskim i o. Marcinem Szaforsem OMI odśpiewali kolędy, wysłuchali Ewangelii o narodzeniu Jezusa Chrystusa i złożyli sobie noworoczne życzenia.

Spotkanie w Sali BHP Stoczni Gdańskiej było okazją do podsumowania minionego roku. W swoim przemówieniu Piotr Duda mówił o załamaniu dialogu społecznego, czego najlepszym przykładem była akcja protestacyjna górników w PG „Silesia”, którzy 9 dni, w tym święta Bożego Narodzenia, spędzili pod ziemią.

– Oni nie chcieli nic nadzwyczajnego. Chcieli tylko utrzymać swoje miejsca pracy, a jeśli to się nie uda, to uzyskać zatrudnienie w innej kopalni. Nie przyjechał do nich wojewoda, marszałek województwa, nie przyjechała minister Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, przewodniczący RDS, nie przyjechał burmistrz Czechowic-Dziedzic. Nikogo nie było! Wstyd! Ale byli związkowcy z Solidarności. Od pierwszego dnia tego protestu byliśmy z nimi. I byli z nami księża, kapelani Solidarności. Ja też tam byłem i widziałem, w jakich warunkach musieli spędzać święta Bożego Narodzenia – mówił Piotr Duda.

Skrytykował też ustawę o wolnej Wigilii przygotowaną przez ministerstwo, na którego czele stoi Agnieszka Dziemianowicz-Bąk.

– To jest martwy zapis, że są trzy niedziele handlowe, ale tylko

eprasa.pl ffd7aceac8


Fot. M. Żegliński

„Możemy być dumni z tego, że jesteśmy związkowcami z Solidarności – z najbardziej rozpoznawalnym logo na całym świecie”.

Piotr Duda, przewodniczący KK „S”, Tysol.pl, 8 stycznia br.

w dwie pracownicy handlu mogą pracować. To jest totalna bzdura i nieporozumienie. To żaden sukces, ale porażka i wstyd, że Lewica po raz kolejny pokazała swoje liberalne oblicze. Dzisiaj pani minister piszę do Państwowej Inspekcji Pracy ws. kontroli tej trzeciej niedzieli handlowej w grudniu... Pracownicy handlu zamiast zyskać, zostali wręcz pokrzywdzeni – ocenił szef Solidarności.

Według Piotra Dudy również obecny rok nie będzie łatwy dla Solidarności. – Dziś musimy sobie powiedzieć jasno, że ten rok będzie dla nas bardzo trudny, bo pan premier Donald Tusk nie chce rozmawiać, nie chce spotykać się ze stroną społeczną i prowadzić dialogu społecznego – prognozował.

OSKARŻENI O ZBRODNIE

Prokurator Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu oskarżył 10 byłych funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej o pobicia i bezprawne użycie broni palnej wobec uczestników pokojowej manifestacji z 31 sierpnia 1982 roku w Lubinie. Zastosowanie tak brutalnych środków miało doprowadzić do śmierci Mieczysława Poźniaka oraz Andrzeja Trajkowskiego, a także ciężkiego uszczerbku na zdrowiu czterech innych osób.

Akt oskarżenia w tej sprawie trafił do Sądu Okręgowego w Legnicy. Byłym funkcjonariuszom MO grozi do 15 lat pozbawienia wolności.

– Zbrodnia lubińska jest zbrodnią komunistyczną, która nie podlega przedawnieniu – podkreślił 30 grudnia 2025 roku na konferencji prasowej dr hab. Karol Polejowski, zastępca prezesa IPN.

Do zbrodni lubińskiej doszło 31 sierpnia 1982 roku, w rocznicę podpisania Porozumień Sierpniowych. Mieszkańcy Lubina i pobliskich miejscowości zorganizowali wówczas pokojową manifestację, która została rozpędzona przez władze PRL. Zginęły trzy osoby, kilkadziesiąt zostało rannych, a ponad 200 padło ofiarami represji. Śledztwo w tej sprawie podjęto na nowo w sierpniu 2022 roku.

POROZUMIENIE W ANWIL-u

Zakończyły się negocjacje płacowe w przedsiębiorstwie ANWIL S.A. należącym do Grupy ORLEN. W rozmowach uczestniczył NSZZ „Solidarność” wchodzący w skład Wspólnej Reprezentacji Związkowej. 17 grudnia 2025 roku podpisano porozumienie z pracodawcą dotyczące wzrostu wynagrodzeń w przyszłym roku.

Ustalono w nim, że od stycznia 2026 roku pracownicy uzyskają obligatoryjną podwyżkę w wysokości 300 zł brutto. Dodatkowe 100 zł brutto załoga otrzyma w październiku.

Związkowcy z Solidarności przekazali również, że wynegocjowali kartę paliwową w wysokości 700 zł oraz świadczenia świąteczne, które zostaną wypłacone wraz z wynagrodzeniem za marzec i listopad. Każde z nich wyniesie 1650 zł brutto.

Włocławski ANWIL jest częścią Grupy ORLEN i działa w sektorze chemicznym. To jeden z największych pracodawców w regionie kujawsko-pomorskim zatrudniający blisko 1700 pracowników. Firma zajmuje się produkcją nawozów azotowych i jako jedyna w Polsce wytwarza suspensyjny polichlorek winylu.

SKORZYSTAJ Z ULGI

Związkowcy mogą odliczyć od podatku dochodowego PIT nawet 840 zł – to ulga z tytułu opłacania składek na rzecz członkostwa w związku zawodowym. Kwotę odlicza się od dochodu przed opodatkowaniem. Możliwe jest to przy wypełnianiu deklaracji podatkowych PIT-28, PIT-36 oraz PIT-37.

Odliczanie ulgi z tytułu składek związkowych jest możliwe od 2022 roku. Początkowo limit wynosił 300 zł, później 500 zł, a obecnie jest to wspomniane 840 zł.

M.K.

Kalendarium Solidarności

13.01.1982 – powstaje Ogólnopolski Komitet Oporu „Solidarność” (OKO);

17.01.2000 – umiera ks. prałat Hilary Jastak, kapelan Solidarności. Pierwszy ksiądz, który w czasach PRL odprawił Mszę Świętą polową w zakładzie pracy. Eucharystia odbyła się 17 sierpnia 1980 roku w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni.

eprasa.pl ffd7aceac8

RYSZARD MAJDZIK:

„Bądźmy solidarni”

„Mam 67 lat i w październiku 2025 roku zdiagnozowano u mnie raka trzustki. Podczas operacji nie udało się usunąć całego guza, a moje możliwości leczenia są ograniczone z powodu innych chorób. Szukam pomocy, aby móc poddać się leczeniu alternatywnemu i spędzić jak najwięcej czasu z moją rodziną” – napisał skromnie Ryszard Majdzik, **legenda podziemia antykomunistycznego**, ogłaszając w internecie zbiórkę na swoje leczenie.

Ryszard Majdzik mimo ciężkiej choroby nie przerwał działalności publicznej. „Polsko, walcz, proszę” – apelował w swoich mediach społecznościowych, odnosząc się do współczesnej rzeczywistości politycznej pod rządami Donalda Tuska. Jego samego nazwał „dewastatorem państwa polskiego”, a nawet „folksdojczem”.

Wszędzie tam, gdzie sprawy ważne dla Polski

Majdzik nie zostawia suchej nitki na Koalicji 13 grudnia, uznając ją za egzystencjalne zagrożenie dla Polski. Głos w sprawach publicznych zabiera od lat, zazwyczaj oceniając rzeczywistość polityczną trafnie, choć gorzko. Ryszard Majdzik był przeciwnikiem porozumienia podpisanego przy Okrągłym Stole, uznając je za „wielkie oszustwo, dzięki któremu komuniści spadli na cztery łapy i do dziś zatruwają życie Polakom”. Opozycjonista z entuzjazmem przyjął decyzję prezydenta Karola Nawrockiego o usunięciu symbolicznego mebla z Pałacu Prezydenckiego.

Majdzik jest wszędzie tam, gdzie dzieją się ważne dla Polski sprawy. Wspiera protesty przeciwko polityce Zielonego Ładu i w obronie polskiego przemysłu, przeciwstawia się „deformie” polskiego nauczania pod rządami obecnej minister edukacji, sprzeciwia się przywracaniu wysokich uposażeń emerytalnych funkcjonariuszom komunistycznym, działa na rzecz upamiętniania polskich bohaterów i przeciwko zakłamywaniu najnowszej historii kraju.



Fot. T. Gutry

Pochodzi z rodziny o tradycjach niepodległościowych. Jego

eprasa.pl ffd7aceac8

dziadek, Zygmunt Majdzik, był przedwojennym policjantem i został zamordowany przez sowieckie NKWD w Miednoje w 1940 roku wraz z tysiącami innych przedstawicieli polskiej inteligencji. Ojciec, Mieczysław Majdzik, był z kolei działaczem antykomunistycznego podziemia niepodległościowego w najtrudniejszych latach stalinowskiego reżimu. W 1949 roku działał w podziemnej organizacji młodzieżowej Świętokrzyski Batalion Zająca Zrzeszenia WiN w Skawinie, za co został aresztowany i osadzony w Centralnym Więzieniu Karno-Śledczym w Krakowie. Jako dwudziestoletni chłopak został skazany na 11 lat pozbawienia wolności, odsiedział sześć. Wyszedł na wolność po „odwilży" po śmierci Stalina. Więzienie go nie złamało, natychmiast po powrocie zza krat rozpoczął działania na rzecz upamiętnienia ofiar zbrodni katyńskiej. Walczył także w obronie szykanowanych pracowników, organizował strajki i głodówki na rzecz poprawy warunków pracy w swoich miejscach zatrudnienia. Organizował pomoc dla robotników z Ursusa i Radomia w 1976 roku. W 1980 roku podjął głodówkę w geście solidarności ze strajkującymi robotnikami Wybrzeża. Głodówki podejmował także w czasie internowania w okresie stanu wojennego.

Kryptonim „Niepoprawny"

W przypadku rodziny Majdzików powiedzenie o tym, że „niedaleko pada jabłko od jabłoni", sprawdziło się w stu procentach. Ryszard Majdzik poszedł w ślady ojca i dziadka. Już jako dwudziestolatek „sprawiał problemy" komunistom, upowszechniając wiedzę o zbrodni katyńskiej. Został za to aresztowany na kilka miesięcy. Po wyjściu na wolność działał w podziemnych drukarniach niezależnych wydawnictw. Współpracował z KSS KOR, SKS, był uczestnikiem ROPCiO. Zorganizował strajk solidarnościowy z poparciem dla robotników Wybrzeża. Był to zresztą najdłuższy strajk okupacyjny w Małopolsce. W okresie karnawału Solidarności działał w różnych organizacjach niepodległościowych, za co przyszło mu zapłacić cenę z chwilą nadejścia rządów junty Jaruzelskiego. Został internowany już 13 grudnia 1981 roku i był przetrzymywany w kilku ośrodkach odosobnienia. W 1982 roku był uczestnikiem 51-dniowej głodówki, w wyniku której został przewieziony do szpitala. Ze szpitala uciekł i przez pewien czas się ukrywał. Za działalność niepodległościową zwolniono go z pracy. Przez władze komunistyczne został oskarżony o kierowanie nielegalną organizacją i był poszukiwany listem gończym, a następnie aresztowany. Po wyjściu na wolność na mocy amnestii był wielokrotnie zatrzymywany za udział w manifestacjach patriotycznych. Wspólnie z żoną Beatą działali na niwie wolnego słowa, zajmując się drukiem i kolportażem wydawnictw podziemnych. Był rozpracowywany przez służby specjalne komunistycznego reżimu. Jednej ze spraw nadano wiele mówiący kryptonim: „Niepoprawny".

Po roku 1989 Ryszard Majdzik został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Semper Fidelis, Medalem Niezłomnym w Słowie, Krzyżem Wolności i Solidarności, Medalem KEN.

Działalność niepodległościowa i lata ogromnego stresu mocno odbiły się na zdrowiu opozycjonisty. Przeszedł kilka zawałów, choruje na cukrzycę, a ostatnio dowiedział się o nieoperacyjnym raku trzustki. Choć Ryszard Majdzik się nie skarży i pozostaje aktywny, jak zawsze zainteresowany sprawami Polski, a nie sobą, warto wesprzeć go materialnie, aby choć w ten sposób okazać mu wdzięczność za to, że kiedy tylu ludzi wokół myśli o własnych karierach, przyjemnościach i wygodzie, jemu wciąż chce się walczyć o dobro wspólne. Panie Ryszardzie – dziękujemy i prosimy, żeby dbał Pan o siebie, Pan także jest naszym wspólnym dobrem!

Zbiórka na leczenie Ryszarda Majdzika:

BYŁ ROZPRACOWYWANY PRZEZ SŁUŻBY SPECJALNE KOMUNISTYCZNEGO REŻIMU. JEDNEJ ZE SPRAW NADANO WIELE MÓWIĄCY KRYPTONIM: „NIEPOPRAWNY".

A.Ż.

eprasa.pl ffd7aceac8

Co może dać mi Solidarność?

– Zmieniły się realia, w jakich funkcjonujemy jako związek zawodowy. Pamiętam, że na początku lat dwutysięcznych przy zakładaniu praktycznie każdej organizacji były obawy, czy liderzy związkowi nie zostaną następnego dnia zwolnieni z pracy. Teraz nie ma obiekcji „boję się", a coraz częściej pojawia się „co ja z tego będę miał" – mówi **Ireneusz Pszczoła**, przewodniczący Zarządu Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność", w rozmowie z **Marcinem Krzeszowcem**.

– Panie Przewodniczący, obejmuje Pan stery Regionu Środkowo-Wschodniego w połowie kadencji związkowej. Jaki jest plan na najbliższe dwa lata? Chodzą Panu po głowie jakieś większe projekty czy skupi się Pan na razie na kontynuacji?

– Kontynuacja z całą pewnością nie wchodzi w grę, bo zapewne nie takie są oczekiwania delegatów. Skoro wygrałem z osobą aktualnie kierującą Regionem, która przez ponad 15 lat była zastępcą poprzedniego przewodniczącego, to z całą pewnością świadczy to o potrzebie zmian. W czasie prezentacji podczas WZD Regionu mówiłem, że chciałbym powrotu na kierunek, z którego moim zdaniem zaczęliśmy mniej lub bardziej świadomie schodzić. Tym samym nie zamierzam proponować żadnej rewolucji, ale na pewno poważną korektę dotychczasowych działań. Moim celem jest takie prowadzenie Regionu, żeby każdy członek lubelskiej Solidarności, widząc nasze logo, od razu pomyślał: „To jest mój Związek". W tym celu odwiedzę wszystkie organizacje zarejestrowane w naszym Regionie, a jest ich ponad 270. Chcę poznać realia, w jakich pracują nasi członkowie, oraz dowiedzieć się, jakie mają oczekiwania co do funkcjonowania Regionu. Diagnozowanie na bieżąco ewentualnych problemów pozwoli na bardziej skuteczne działania i zapewnienie potrzebnego wsparcia ze strony Zarządu Regionu.

Musimy też popracować nad zmianą naszego wizerunku, żeby docierać z przekazem do młodych ludzi. Musimy być tam, gdzie oni spędzają wiele czasu, czyli między innymi w mediach społecznościowych. Musimy wreszcie zacząć mówić językiem dla nich zrozumiałym. Dlatego też jednym z moich priorytetów będzie, mówiąc wprost, reaktywacja Regionalnej Sekcji Młodych. W tej chwili jest to tylko formalna struktura. My musimy wypełnić ją życiem i sprawić, żeby młodzi pracownicy widzieli w Solidarności także możliwość samorealizacji.

Poza tym mam wielkie marzenie, które ma dużą szansę zmaterializować się już w lipcu, ale na razie głośno o tym nie chcę mówić. Natomiast... będą znaki, a „Tygodnik Solidarność" będzie pierwszym medium, które mam nadzieję o tym poinformuje.

ODWIEDZĘ WSZYSTKIE, CZYLI 270, ORGANIZACJE ZAREJESTROWANE W NASZYM REGIONIE. CHCĘ POZNAĆ REALIA, W JAKICH PRACUJĄ NASI CZŁONKOWIE, ORAZ POZNAĆ ICH OCZEKIWANIA CO DO FUNKCJONOWANIA REGIONU.

eprasa.pl ffd7aceac8



Fot. arch. „S"

To w sferze czysto związkowej. Natomiast wchodzimy również w fazę realizacji dużego projektu rewitalizacji naszej siedziby, który odziedziczyliśmy po naszych poprzednikach. Jak wiadomo, łatwiej jest samemu działać od początku, niż poprawiać, ale z tak profesjonalną ekipą nie mam wątpliwości, że damy radę.

– Od jak dawna jest Pan związany z Solidarnością? W sieci znalazłem informację, że to już ponad dwie dekady.

– Zgadza się. Do NSZZ „Solidarność" trafiłem w 2003 roku, gdzie od samego początku zajmowałem się rozwojem Związku, a przez pewien czas koordynowałem nawet pracę Działu Rozwoju. W 2011 roku otrzymałem propozycję przejścia do Działu Rozwoju Komisji Krajowej, którą bez wahania przyjąłem. Potraktowałem to jako szansę mojego rozwoju zawodowego i jednocześnie wyzwanie. Osiem lat pracy w centrali Związku pozwoliło mi na szersze spojrzenie na rynek pracy oraz działalność związkową. Nawiązałem wtedy bezcenne relacje z działaczami z całego kraju, które na bieżąco dawały mi doświadczenie, a teraz spowodowały, że na pierwszym posiedzeniu Komisji Krajowej czułem się jak wśród swoich. W związku ze zmianą modelu organizowania pracowników w naszym Związku oraz sytuacją osobistą wróciłem po tym czasie do pracy w Regionie Środkowo-Wschodnim. Oczywiście nadal zajmowałem się rozwojem, ale starałem się przenosić na lubelskie podwórko doświadczenia z poziomu krajowego.

– Do tej pory działał Pan jako członek Zarządu Regionu i organizator związkowy, czyli innymi słowy pozyskiwał Pan nowych członków dla Związku. Mógłby Pan powiedzieć naszym czytelnikom, jak buduje się Solidarność tak od zera, od samych podstaw?

– Związek (i to nie tylko zawodowy) zawsze powinno budować się na zaufaniu. Do tego niezbędne jest poznanie oczekiwań pracowników, którzy zastanawiają się nad przystąpieniem do Solidarności. Ja muszę im zaufać, że są w stosunku do mnie autentyczni i otwarci, a oni mi, że moją intencją jest chęć pomocy im w poprawie ich warunków pracy. Takie podejście daje gwarancję, że pozyskani w ten sposób nowi członkowie oraz nowotworzone organizacje będą trwałe. To nie może być zapisywanie

eprasa.pl ffd7aceac8

pracowników do związku zawodowego, ale właśnie ich organizowanie w Związku. Dawanie płonnych nadziei powodowałoby, że te oczekiwania szybko by się wypalały. Pojawiłaby się frustracja, która wcześniej lub później przechodziłaby w rezygnację. My jako Solidarność potrzebujemy stabilnych organizacji, żeby budować naszą siłę. Tylko z takim Związkiem ktokolwiek będzie się liczył. Przez te ponad dwie dekady nikt mi nie zarzucił, że go oszukałem lub nie zrobiłem wszystkiego, co mogłem, żeby mu pomóc. To bardzo budujące. Właśnie takie podejście spowodowało, że w 2023 roku zdecydowałem się kandydować do Zarządu Regionu. Po to, żeby móc bardziej efektywnie pomagać członkom Solidarności, którzy mi zaufali. W 2025 roku okazało się, że to za mało i przyszła kolejna decyzja. Tym razem o kandydowaniu na szefa Regionu.

Natomiast, żeby móc działać w ten sposób, musimy najpierw dotrzeć z informacją o NSZZ „Solidarność” do poszczególnych zakładów pracy. To jest największe wyzwanie. Później już będzie łatwiej.

– Porównując ostatnie dwie dekady: czy w przeszłości pracownicy chętniej przystępowali do Związku, czy dzisiaj łatwiej jest im podjąć taką decyzję? Teraz mają zapewnioną silniejszą ochronę prawną przed zwolnieniem.

– Na pewno zmieniły się realia, w jakich funkcjonujemy jako związek zawodowy. Pamiętam, że na początku lat dwutysięcznych przy zakładaniu praktycznie każdej organizacji były obawy, czy liderzy związkowi nie zostaną następnego dnia zwolnieni z pracy. I tak niestety się zdarzało. Teraz sytuacja jest inna. Nie oznacza to oczywiście, że nie ma szykan i dyskryminacji z tytułu przynależności związkowej. Natomiast jest to robione w sposób mniej ordynarny. Teraz nie ma obiekcji „boję się”, a coraz częściej pojawia się „co ja z tego będę miał”. I w tej sytuacji wszystko w rękach osoby, do której taki pracownik trafi lub której zaproponuje przystąpienie do Solidarności. Wyeliminowanie poczucia lęku powoduje, że to wiarygodność i osoba organizatora związkowego ma większe znaczenie. Dlatego tak ważny jest dobór osób, którym powierzamy rozwój Związku oraz ich ustawiczne szkolenie. To muszą być najwyższej klasy specjaliści, bo to oni kształtują wizerunek Solidarności w zakładach pracy.

MUSIMY WRESZCIE ZACZĄĆ MÓWIĆ JĘZYKIEM ZROZUMIAŁYM DLA MŁODYCH LUDZI.

– W ostatnich tygodniach spotkał się już Pan z władzami samorządowymi, przedstawicielem pracodawców i oczywiście ze związkowcami z „S” z różnych zakładów pracy. Widzi Pan już konkretne przedsiębiorstwa, w których dialog będzie raczej szorstki?

– Z całą pewnością różnie będzie wyglądał dialog społeczny w poszczególnych zakładach pracy. W jednych będzie łatwiej, w innych trudniej lub w ogóle go nie będzie. Natomiast efekt końcowy będzie zawsze powiązany z naszą determinacją i skutecznością. Jeżeli w przestrzeni publicznej powszechnie wiadomym będzie, że lubelska Solidarność żadnego swojego członka nie pozostawi bez wsparcia, to na pewno będzie nam łatwiej. Mówię to nie bez powodu, bo w najbliższych tygodniach takie zdecydowane działania podejmiemy. Właśnie po to, żeby członkowie naszego Związku mieli poczucie zaopiekowania. To jest ta wiarygodność, o której mówiłem wcześniej.

NA POCZĄTKU LAT DWUTYSIĘCZNYCH PRZY ZAKŁADANIU PRAKTYCZNIE KAŻDEJ ORGANIZACJI BYŁY OBAWY, CZY LIDERZY ZWIĄZKOWI NIE ZOSTANĄ NASTĘPNEGO DNIA ZWOLNIENI Z PRACY.

Ireneusz Pszczoła – działacz NSZZ „Solidarność” od 2003 roku. Od samego początku pracował jako organizator związkowy. W 2011 roku trafił do Biura Rozwoju Komisji Krajowej, gdzie spędził osiem lat. Po powrocie do Regionu Środkowo-Wschodniego został najpierw członkiem Zarządu, a od listopada 2024 roku nowym przewodniczącym Regionu.

eprasa.pl ffd7aceac8

WSPOMNIENIE

Odeszła Bożena Magott

„Z wielkim bólem informujemy, że 30 grudnia 2025 r. po ciężkiej chorobie w wieku 80 lat zmarła w Paryżu Bożena Magott” – przekazali bliscy zmarłej.



Fot. arch. rodziny

Jak czytamy na profilu Stowarzyszenia Wolnego Słowa w mediach społecznościowych, Bożena Magott była przedstawicielką „Tygodnika Wojennego” we Francji, potem „PWA” i II Programu Radia Solidarność.

Oddział zagraniczny SDP

Współzakładała działające od grudnia 1981 r. we Francji Radio Solidarite. Założyła również oddział zagraniczny SDP, który oficjalnie kontynuował działalność przez całe lata 80. – m.in. dzięki temu podziemne SDP zostało przyjęte do Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy (FIJ).

„Byłam sekretarzem w oddziale zagranicznym SDP, którego prezesem był Maciej Morawski. Gdy junta wojskowa pod wodzą gen. Jaruzelskiego zdelegalizowała SDP w Polsce i utworzyła nowe stowarzyszenie dziennikarzy, niektórzy członkowie wnioskowali, aby rozwiązać nasz oddział, jednak większość członków nie wyraziła na to zgody. Zamiast tego wspólnie z Maciejem Morawskim zgłosiliśmy kandydaturę SDP do Międzynarodowej Organizacji Dziennikarzy (FIJ). Nasza kandydatura została przyjęta w trybie pilnym i nasi członkowie otrzymali międzynarodowe legitymacje dziennikarskie” – wspominała Bożena Magott.

Współpracowała z „Tygodnikiem Solidarność”

Wspierała także opozycję w Polsce. Jeździła wielokrotnie do kraju z transportami, jako przewodnik przyjeżdżała z przedstawicielami francuskich związków zawodowych, którzy udając turystów, spotykali się z władzami podziemnej Solidarności, organizowała wakacyjne pobyty dzieci uwięzionych działaczy podziemia we Francji, a także pomagała przyjeżdżającym do Francji przedstawicielom polskiego podziemia.

O inicjatywie polegającej na zapraszaniu przez francuskie rodziny dzieci polskich na wakacje sama Bożena Magott pisała po latach: „Organizacje lokalne, składające się z działaczy związkowych CFTC i sympatyków zapraszały dzieci rodzin członków Solidarności według list sporządzanych przez Regionalną Komisję małopolskiej Solidarności. Te listy były proponowane związkowcom z CFTC i to oni zapraszali dzieci z tych list na pobyt do siebie. Ja je odbierałam z lotniska Orly, przywoziłam do domu, gdzie zostawały czasem na noc, bo rodziny zapraszające przyjeżdżały stopniowo, by zabrać dzieci – bardzo często na wspaniałe wakacje. Przy okazji zawiązywały się silne związki przyjacielskie z francuskimi rodzinami i korespondencja z rodzinami polskimi trwała przez lata”.

Bożena Magott przez wiele lat była francuskim korespondentem „Tygodnika Solidarność”. Aktywnie uczestniczyła w opracowaniu programów Radia Solidarność w Paryżu.

Odznaczona

Bożena Magott została odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi. W październiku 2025 r. otrzymała, wraz z mężem, wyróżnienie „Drzwi do Wolności” na Festiwalu Filmowym NNW w Gdyni dla bohaterów drugiego planu wspierających działaczy podziemia niepodległościowego i solidarnościowego.

BM

eprasa.pl ffd7aceac8

PRAWO

Jest zbrodnia – czy będzie kara?

O odpowiedzialności karnej dzieci

Ostatnio w mediach głośno było o sprawie dwunastolatki, która popełniła najgorszą z możliwych zbrodni – odebrała niewinne życie. Czy dziecko w wieku 12 i mniej lat może odpowiadać karnie za swoje czyny? Czy rodzice lub opiekunowie ponoszą w takich przypadkach odpowiedzialność? Chciałbym zrozumieć, jakie są **realne konsekwencje** dla dziecka i rodziny.

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

W POLSKIM SYSTEMIE PRAWNYM odpowiedzialność karna jest uzależniona od wieku sprawcy. Zgodnie z Kodeksem karnym osoby, które nie ukończyły 17 lat, są traktowane inaczej niż dorośli. Istnieje przy tym wyraźny podział. Dzieci do 13. roku życia w ogóle nie odpowiadają karnie za swoje czyny. Oznacza to, że jeżeli dwunastolatek popełni czyn zabroniony, nie może być formalnie ukarany w postępowaniu karnym, nie zostanie wszczęte zwykłe postępowanie sądowe ani nie grozi mu kara w rozumieniu Kodeksu karnego. System zakłada, że dzieci w tym wieku nie mają pełnej zdolności do rozumienia wagi czynu i odpowiedzialności za jego skutki. Jednak to, że dziecko nie odpowiada karnie, nie oznacza braku reakcji ze strony państwa i rodziny. W przypadku czynów zabronionych popełnionych przez dzieci do 13 lat mogą być podejmowane działania wychowawcze i resocjalizacyjne. Organem właściwym jest najczęściej sąd rodzinny, który może zastosować środki wychowawcze wobec dziecka i zobowiązać rodziców lub opiekunów do nadzoru, terapii lub udziału w programach resocjalizacyjnych. Celem takich działań jest przede wszystkim zapobieganie powtarzaniu zachowań i edukacja dziecka w zakresie norm społecznych i prawnych. Odpowiedzialność rodziców lub opiekunów w takich przypadkach również jest przewidziana. Zgodnie z Kodeksem cywilnym i przepisami prawa rodzinnego, rodzice mogą ponosić odpowiedzialność za niewłaściwe sprawowanie pieczy i nadzoru nad dzieckiem, szczególnie jeśli doszło do wyrządzenia szkody osobie trzeciej. Może to przybrać formę obowiązku naprawienia szkody lub zastosowania innych środków wychowawczych. W praktyce oznacza to, że choć dziecko nie jest karane, rodzina może zostać wciągnięta w postępowanie wyjaśniające lub mediacyjne, a sąd może nakazać określone działania wobec dziecka. W przypadku dzieci powyżej 13. roku życia odpowiedzialność karna staje się już możliwa, choć nadal ograniczona. Dzieci w wieku od 13 do 17 lat mogą odpowiadać za czyny zabronione, ale stosuje się wobec nich specjalne przepisy Kodeksu karnego dla nieletnich, które przewidują środki wychowawcze, nadzorcze lub poprawcze zamiast klasycznych kar więzienia. W praktyce może to oznaczać umieszczenie w ośrodku wychowawczym, nadzór kuratora, obowiązek uczestnictwa w zajęciach edukacyjnych czy zobowiązanie do zadośćuczynienia pokrzywdzonemu.

Podsumowując, w sytuacji głośnej tragedii, do której niedawno doszło, polski system nie przewiduje odpowiedzialności karnej 12-latki. Sprawa jest prowadzona przez sąd rodzinny z naciskiem na ocenę zachowania, pomoc dziecku i jego rodzinie oraz środki wychowawcze, a nie karne. Jednocześnie rodzice lub opiekunowie mogą zostać postawieni w sytuacji, w której sąd oceni ich rolę i nadzór nad dzieckiem, a także mogą zostać pociągnięci do odpowiedzialności cywilnej za wyrządzoną szkodę.

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl ffd7aceac8

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego



Basia: – Mamy zimę, więc protestują rolnicy. Szczególnie że gorąco jest wokół podpisania umowy UE – Mercosur.

Tomek: – Poprzednia zima też była gorąca. 3 stycznia 2025 roku w Warszawie protestowali rolnicy. Robiłem wówczas zdjęcia. Demonstranci ruszyli sprzed siedziby Ministerstwa Aktywów Państwowych przy ul. Wspólnej i dotarli aż do pl. Teatralnego.

– Już wówczas rolnicy protestowali m.in. przeciwko wyżej wspomnianej umowie, a także przeciw Zielonemu Ładowi i importowi z Ukrainy.

– Na marszu, który przeszedł ulicami Warszawy, pojawił się ówczesny kandydat na prezydenta Karol Nawrocki. Porozmawiałem z nim wówczas chwilę, gdy udało mu się wydostać z tłumu.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl ffd7aceac8

RYSUNEK NA KONIEC **KRYSZTOPA**



Nasi autorzy

Krzysztof Karnkowski (Liberałów..., s. 14),
doktor socjologii, publicysta, współpracownik „Tygodnika Solidarność", wokalista punkrockowego zespołu Spirit of 84, twórca internetowy.

Cezary Krysztopa (Koniec..., s. 51),
zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność" i spiritus movens portalu Tysol.pl. Z wykształcenia architekt (jego projekty można podziwiać także w Warszawie). Z zamiłowania rysownik. Z powołania polemiczny publicysta. W naszym tygodniku od 2014 roku. Od lat namawiany na wydanie swoich legendarnych „Opowieści podlaskich".

Marcin Krzeszowiec (Co może..., s. 68),
pisze dla „Tygodnika Solidarność" od 2021 roku. Aktualny gospodarz naszej rubryki „Co w związku".

Monika Małkowska (Widziałam..., s. 33),
jest krytyczką sztuki, projektantką mody, dziennikarką i publicystką kulturalną. W przeszłości związana m.in. z „Rzeczpospolitą", radiową Trójką i PR24, Tok FM czy TVP Kultura. W 2014 wywołała burzę tekstem „Mafia bardzo kulturalna", w którym obnażyła szereg patologicznych zjawisk i układów rządzących polskim życiem artystycznym.

Jakub Pacan (Daleko..., s. 18),
dziennikarz „TySola" od 2018 roku. Pisze o polityce, religii oraz... lasach.

Paweł Pietkun (Eugenika..., s. 30),
dyrektor regionalny w Amerykańskim Instytucie Dyplomacji i Praw Człowieka (U.S. Institute of Diplomacy and Human Rights).

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl ffd7aceac8

PRENUMERATA 2026

ZMIANY DOTYCZĄCE PRENUMERATY „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Zapraszamy do **zamawiania prenumeraty** „Tygodnika Solidarność”. Można to zrobić poprzez kolporterów, takich jak: **Kolporter sp. z o.o.**, **Garmond Press SA**, poprzez **Pocztę Polską**, a także w **redakcji „Tygodnika”**.

Prenumerata redakcyjna wysyłana jest za pośrednictwem Poczty Polskiej na wskazany adres (**prenumerator nie ponosi kosztów przesyłki**).

„Tygodnik Solidarność” jest w stałej sprzedaży w salonikach prasowych sieci Empik.

Cena okładkowa „Tygodnika Solidarność” w 2026 roku wyniesie **9,90 zł.**

Cena w prenumeracie egzemplarzowej „Tygodnika Solidarność” w 2026 roku **wynosi tylko** → **9,90 zł**

Prosimy o wpłaty na numer konta:
mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ W WERSJI PAPIEROWEJ ORAZ ELEKTRONICZNEJ NA 2026 ROK

I KWARTAŁ	**128,70 zł***	(NUMERY 1–13)
II KWARTAŁ	**128,70 zł**	(NUMERY 14–26)
I PÓŁROCZE	**257,40 zł**	(NUMERY 1–26)
III KWARTAŁ	**128,70 zł**	(NUMERY 27–39)
IV KWARTAŁ	**118,80 zł**	(NUMERY 40–51/52)
II PÓŁROCZE	**247,50 zł**	(NUMERY 27–51/52)
ROK	**504,90 zł**	(NUMERY 1–51/52)

* wszystkie ceny podane są w kwocie brutto

eprasa.pl ffd7aceac8

Grudzień 1970 i stan wojenny – pamiętamy!

Nowe wydanie specjalne „Tygodnika Solidarność”



Zbrodnie komunistyczne. Dlaczego sprawcy nie zostali ukarani?

Nieznane zdjęcia z archiwów

Wydanie Specjalne do kupienia na:

SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

oraz w wybranych salonach prasowych

eprasa.pl ffd7aceac8